

Camelot

Nasze małe historie
Projekt współpracy
i wymiany międzypokoleniowej



AKADEMIA ROZWOJU
FILANTROPII W POLSCE
Academy for the Development of Philanthropy in Poland



Łączymy
pokolenia



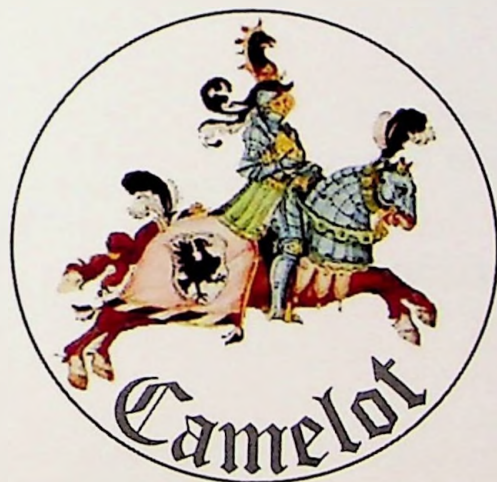
sic!



**Centrum Innowacji Społecznej SIC!
Ośrodek Kultury w Luboniu**

Camelot nasze małe historie

**Projekt współpracy i wymiany
międzypokoleniowej**



**Publikację sfinansowano ze środków programu
„Łączymy pokolenia” realizowanego przez Fundację PZU
i Akademię Rozwoju Filantropii w Polsce.**

WYDAWCA:

Centrum Innowacji Społecznej SIC!

Fundacja SIC!

Ul. Garbary 47

61-869 Poznań

<http://www.sic.to>

e-mail: sic@sic.to

telefon/fax: (61) 8521643

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Aleksandra Kowalska, Karolina Dorożala, Małgorzata Krzysztoń, Adrian Liske, Magdalena Grząślewicz, Sylwia Dziwińska, Marta Włodarczak, Aleksandra Kowalewska

AUTORZY TEKSTÓW:

Kacper Rybacki, Anna Menes, Beata Jacynowska, Dominik Jacynowski, Weronika Czajka, Paulina Mieloszyk, Joanna Wojtkowska, Nel Nowak, Marta Pietruczuk

OPRACOWANIE GRAFICZNE:

Adrian Liske, Małgorzata Krzysztoń

SKŁAD KSIĄŻKI I PROJEKT OKŁADKI:

Adrian Liske

DRUK:

Romex,

ul. Naramowicka 303

Poznań

W publikacji wykorzystano grafikę: „Rhead, George Wooliscroft & Louis. „Arthur Leading the Charge at Mount Badon” pochodzącą z: Tennyson, Alfred. Idylls of the King: Vivien, Elaine, Enid, Guinevere. New York: R. H. Russell, 1898”.

Copyright © Fundacja SIC!, Poznań 2007, nakład 1000 egz.

Spis treści

Podziękowania

Słowo wstępne, <i>Sylvia Dziwińska, Karolina Dorożala</i>	9
„Camelot - nasze małe historie” - opis projektu, <i>Karolina Dorożala</i>	13

I Historia

O Luboniu słów kilka.....	21
Wspomnienia z okresu II Wojny Światowej	25
Pomnik Siewcy.....	33

II Zabawa

Kino.....	41
Miejsca wypoczynku	47

III Życie codzienne

Szkoła	57
Praca. Zakłady przemysłowe	69

IV Wyróżnione prace konkursowe

Luboń oczami mojej babci, mojego dziadka	77
--	----

V Camelot w obiektywie

Zdjęcia.....	89
--------------	----

Epilog

Serce człowieka nie jest zbiorem kłamstw, <i>Aleksandra Kowalska</i>	99
Legendy duże i małe, <i>Karolina Dorożala</i>	105



Trzymając Państwo w rękach publikację, która jest efektem realizacji działania „Camelot-nasze małe historie. Projekt współpracy i wymiany międzypokoleniowej”.

Realizacja tego przedsięwzięcia nie byłaby możliwa, gdyby nie zaangażowanie wielu osób pracujących i współpracujących, czyli pracowników Centrum Innowacji Społecznej SIC!, wolontariuszy, pracowników Ośrodka Kultury w Luboniu, oraz przy wsparciu Urzędu Miasta Luboń i lokalnych mediów.

Uczestnikom naszego projektu składamy osobne podziękowania. Mamy nadzieję, że miło spędziliście z nami czas i wiele nauczyliście się od siebie.

Dla nas, praca z Wami, była nie tylko wspaniałym doświadczeniem, ale również doskonałą zabawą.

Dziękujemy



Podziękowania

Słowo wstępne



Sylwia Dziwińska, Karolina Dorożala

Zamek ten jest symbolem porządku wśród szalejącego chaosu, idealnego państwa przeciwstawiającego się anarchii, Camelot jest wyższą cywilizacją wśród Barbarzyństwa.

James Harpun

Publikacja, którą trzymacie Państwo w rękach, to efekt pracy uczestników projektu „Camelot - nasze małe historie”. Znajdziecie w niej wspomnienia starszych mieszkańców miasta Luboń zebrane i opracowane przez lubońską młodzież. Znajdziecie tutaj archiwalne fotografie oraz zdjęcia wykonane współcześnie. Publikacja ta to kawałek historii miasta, widzianej oczami jego mieszkańców.

Spytacie Państwo skąd taki tytuł projektu i dlaczego „Camelot” w Luboniu? Zaczepnięta ze średniowiecznej legendy o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu nazwa nie jest przypadkiem. Legendarny zamek króla Artura to miejsce, w którym ceni się sprawiedliwość i honor i co najważniejsze dla naszej idei - panuje w nim atmosfera wzajemnego poszanowania bez względu na wiek.

W Camelocie szczególną wagę przykładają się do zasady równości, niezależnie od przeżytych lat i zebranych doświadczeń. Młodzi słuchają rad starszych, korzystają z ich doświadczeń życiowych, starszyzna ufa młodym, czerpie siłę z ich młodzieńczego zapału, polega na ich świeżym i nowatorskim spojrzeniu. To idee, które przyświecają zarówno arturiańskiemu jak i lubońskiemu Camelotowi.

Projekt „Camelot - nasze małe historie” zakładał działania, które spowodowały stworzenie w Luboniu miejsca spotkań młodszych i starszych mieszkańców miasta. Celem projektu było ułatwienie dialogu międzypokoleniowego i zbudowanie pomostu między generacjami, dzięki któremu można wspólnie organizować atrakcyjne przedsięwzięcia z korzyścią dla wszystkich.

Spotkania, wycieczki, ogrodowe biesiady, wystawy, wspólne oglądanie filmów, wspominki i rozmowy o życiu w Luboniu, to działania, dzięki którym powstała niniejsza publikacja. Starsi rycerze lubońskiego Camelotu lubią snuć opowieści, a młodzi chętnie pytają, bo chcą wiedzieć jak to było

kiedyś kiedy do Lubonia przyjeżdżało kino objazdowe, kiedy wybuchła wojna i jak to było chodzić do szkoły ponad pięćdziesiąt lat temu.

Lektura książki z pewnością przybliży Państwu atmosferę jaka panowała podczas naszych wspólnych spotkań i wypraw. Pragniemy, byście zobaczyli Państwo zarówno współczesny Luboń, jaki i ten z dawnych lat w opowieściach jego mieszkańców i na licznych fotografiach.



Musieliśmy jakoś zdobyć wspomnienia, a ciasteczka tylko pomagają przełamywać lody, przekupstwa ciasteczkami dopuszczają się (od prawej) Daria, nasza wolontariuszka oraz Regina Górniaczyk, dyrektor Ośrodka Kultury w Luboniu. Przekupywani, to (od lewej): Benon Matecki i Ludwik Kupiec.

„CAMELOT - nasze małe historie”, opis projektu



Projekt „Camelot-nasze - małe historie” był przedsięwzięciem, które miało na celu realizację idei wymiany i współpracy międzypokoleniowej.

Starsi ludzie pragną aktywnego kontaktu z młodymi ludźmi. Projekt „Camelot - nasze małe historie” miał im uświadomić, że w dalszym ciągu mają wiele do zaoferowania i mogą być atrakcyjnymi partnerami dla młodszych pokoleń. Zasoby wiedzy jaką dysponują, wspomnienia o tym co było, lub co sami przeżyli, stały się niezwykle interesującą spuścizną dla dzieci i młodzieży. Najmłodsze pokolenia miało dzięki temu szansę na bezpośrednie przekonanie się, że starość nie oznacza bierności i bezradności, że można aktywnie spędzić życie, będąc na emeryturze.

Projekt „Camelot” zbudował i stworzył przestrzeń, w której dochodziło do wspólnych kontaktów i przedsięwzięć międzypokoleniowych.

Projekt był realizowany poprzez wspólną realizację trzech podstawowych aktywności:

Praca nad publikacją

To doskonała okazja odświeżenia wspomnień i możliwość podzielenia się nimi z innymi. Seniorzy dzielili się swoim doświadczeniem, a młodzież miała okazję przekonać się, jak interesujące jest życie starszego pokolenia. Publikacja, którą mają Państwo przed sobą zawiera wspomnienia seniorów spisywane własnoręcznie przez młodzież. Dzięki temu nabrali oni doświadczenia dziennikarskiego i edytorskiego. Dla obu pokoleń była to prawdziwa przygoda w czasie.

Wydarzenia kulturalne

Młodzież i seniorzy mieli okazję realizacji wspólnych wydarzeń kulturalnych, m.in. wernisaży, które były efektem wspólnych wyjazdów i wycieczek. Mieli okazję oglądać również filmy, stare i współczesne, które przybliżyły im idee i wartości obecne w obu pokoleniach i pozwoliły na żywą dyskusję na temat ich ważności i aktualności. Zobaczyli, co w starych filmach ich urzeka, a co śmieszy. Wśród oglądanych filmów znalazła się prezentacja filmu o Królu Arturze i Rycerzach Okrągłego Stołu. Film przedstawia ideę równości i poszanowania innych oraz zwraca uwagę na walory dyskusji i współdziałania – stąd pomysł prezentacji tej produkcji (jak i tytułu całego projektu).

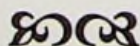
Wycieczki i organizacja czasu wolnego

W ramach projektu seniorzy i młodzież mieli okazję wspólnego uczestniczenia m.in. w warsztatach fotograficznych, które pozwoliły im zapoznać się z zasadami robienia zdjęć. Oprócz tego wszyscy mieli okazję wziąć udział w kilku wspólnych wycieczkach, spędzać razem czas wolny, poznawać nowe miejsca. Wszyscy razem byli również zaangażowani w przygotowanie wycieczek i spotkań towarzyskich.

Projekt „Camelot - nasze małe historie” miał na celu zwiększenie poczucia więzi międzypokoleniowej poprzez budowanie relacji między młodzieżą a seniorami oraz kształtowanie wzajemnego szacunku wynikającego z dobrego poznania się i współpracy przy realizacji zadań, a także zwiększenie poczucia integracji środowiska lokalnego, wskazanie dzieciom, młodzieży i seniorom różnorodnych form organizacji czasu wolnego, które sprzyjają rozwojowi i międzypokoleniowemu porozumieniu, pogłębienie relacji i więzi międzypokoleniowych, ugruntowanie potrzeby dawania pomocy i czerpanie z tego radości; wskazanie zasobów, które mają seniorzy, i z których może skorzystać młodzież, oraz tych, które młodzież może zaoferować seniorom, zwiększenie wiedzy i zainteresowania uczestników historią miasta, przemianami jakimi podlegało i nadal podlega, zwiększenie uczestnictwa w kulturze i przygotowanie uczestników projektu do jej odbioru, zwiększenie poczucia przydatności współpracy międzypokoleniowej poprzez popularyzację osiągnięć uczestników projektu w publikacji podsumowującej projekt.

Zachęcaliśmy seniorów do włączenia się w projekt. Podzielili się z młodymi wspomnieniami. Pokazali, że będąc na emeryturze, można aktywnie spędzać czas!

Młodzież chętnie działała w projekcie. Nie tylko dowiedziała się wiele na temat swojego miejsca zamieszkania, ale także zgromadziła doświadczenie dziennikarskie, zwiedziła interesujące miejsca, spędziła czas inaczej niż zwykle.





*Hartu ducha Pani Janinie Baumann mogą pozazdrościć nawet najmłodsi.
Na zdjęciu: Pani Baumann na wycieczce do Gniezna w towarzystwie
naszego wolontariusza Wojtko.*



Przyjaźnie, które zrodziły się podczas trwania projektu, nie znały barier wiekowych. Na górze (od lewej): Kacper, uczestnik projektu i Adrian, najbardziej wszechstronny wolontariusz. Na dole: uczestnicy wycieczki do Rogalina.





Historia

O Luboniu słów kilka...



Nazwa Luboń pojawiła się w dokumentach źródłowych już na początku XIV wieku, a od tego czasu można znaleźć jej różne formy, jak na przykład: Lubome (1316), Lubom (1409), Lubonya (1443), Lubon (1508), Luboń (1655), w Luboni (1712). Pierwotnie nazwa miała postać Lubom i Lubomie, występowała więc w formie rodzaju męskiego i rodzaju nijakiego, przy czym postać Lubom kończyła się miękkim m. Lubom czy Lubomie to nazwa dzierżawcza (wskazująca na pierwszego właściciela osady), utworzona od imienia Lubom za pomocą archaicznego przyrostka j-, który zlał się z poprzedzającym m, powodując jego miękkość. Z kolei imię Lubom jest skróconą formą jakiegoś imienia dwuczłonowego (o charakterze życzącym) z pierwszym członem Lubo-, np. Lubogost, Lubomir, Lubomysł itp.

Rycerz Lubom - drużynnik Mieszka I

Legenda głosi, że na południe od Poznania żył ród Puszczyków. „Ich wodzem był waleczny Lubom. Jego siostra, urodziwa Sławka, mieszkała w grodzie Mieszka I i była jego pogańską żoną. Po przyjeździe czeskiej Dąbrówki, Sławkę odesłano rodzinie. W ten sposób ród Puszczyków, odsunięty został od władzy a po przyjęciu przez Mieszka chrześcijaństwa, zaczął się buntować i zbrojnie wystąpił przeciwko księciu. Doszło do bitwy, w której wojsko Mieszka rozgromiło Luboma i jego zwolenników. Pamięć o Puszczykach i Lubomie przetrwała w nazwach dwóch miejscowości, Puszczykowo i Luboń, powstałych w okolicy, gdzie stoczono decydującą bitwę”.

Pierwsze wzmianki

Ciągłość bytności ludzi na obszarze dzisiejszego Lubonia sięgają aż III tysiąclecia p.n.e. Liczne ślady wskazują na osadnictwo w kolejnych, młodszych epokach prehistorycznych, aż po okres wczesnego średniowiecza. Ich zagęszczenie może wskazywać na rolę tego obszaru w procesie rozwoju cywilizacyjnego ziem, które później otrzymały nazwę Wielkopolski.

Najstarsze zapisy kronikarskie mówiące o wsi Luboń pochodzą z 1316 r., a dotyczące osady Żabikowo aż z 1283 r. Z kolei Lasek ma nieco młodszą metrykę 1756 r. W roku 1452 Luboń został kupiony przez miasto Poznań i w jego władaniu pozostawał aż do okresu zaborów. W tym samym czasie wieś Żabikowo należała do kapituły poznańskiej, a Lasek był własnością szlachecką. W wyniku zarazy towarzyszącej wojnie domowej za czasów saskich ludność Luboniu została zdziesiątkowana, sprowadzono więc na jego tereny osadników z Bambergii tzw. Bambrów, którzy z czasem zasymilowali się. Położenie trzech wsi obok Poznania sprawiało, że ich

produkty znajdowały zbyt na chłonnym rynku sąsiada. W XIX wieku cegła z Żabikowa była budulcem pruskiej twierdzy w Poznaniu. Z tego okresu pochodzi prawdopodobnie pierwsza kolej parowa transportująca produkt z Żabikowa do przystani na Warcie w Luboniu. Najwięcej sławy przyniosła tym terenom w XIX w. założona przez znanego filozofa i działacza gospodarczego - hr. Augusta Cieszkowskiego - Wyższa Szkoła Rolnicza im. Haliny, utworzona w 1870 r., na gruntach folwarku żabikowskiego - pierwsza wyższa uczelnia w Wielkopolsce.

Czasy współczesne

Od 1904 r. we wsi Luboń zaczyna powstawać przemysł (zakłady ziemniaczane Kelmana, drożdżownia Sinera, zakłady nawozów fosforowych Milcha, dla których zbudowany zostaje dworzec kolejowy). Na terenie Żabikowa powstaje rozległa osada, tzw. kolonia dla sprowadzonych z Niemiec rzemieślników, celem wzmocnienia kadry rozbudowującego się Poznania i okolicznego przemysłu. Po powstaniu wielkopolskim nasze ziemie wchodzi w granice odrodzonej Rzeczypospolitej, a rodzimy kapitał wykupuje większość zakładów przemysłowych Lubonia z rąk niemieckich. Jednocześnie odpływa ludność narodowości niemieckiej. Aż do 1939 r. przybywa ludności rodzimej, grunty rolnicze podlegają intensywnej parcelacji i zabudowie, rozwija się przemysł.

W okresie wojennym ruch inwestycyjny praktycznie zamiera, zakłady przemysłowe pracują tylko częściowo. W Żabikowie powstaje (1943-45) hitlerowski obóz karno-śledczy, w którym więziono od 21,6 do 40 tys. osób różnych narodowości. Okres po r. 1945 to odbudowa przemysłu i osad po kataklizmie wojny, a następnie ich rozwój oraz dynamiczny wzrost ludności (1946 r. - 9,4 tys.; 1954 - ok. 13 tys.) z terenów dzisiejszego Lubonia znajdującej pracę w przemyśle miejscowym i w Poznaniu.

Miasto

W 1954 r. trzy wsie zostają połączone jako miasto Luboń. Nie do końca znane są powody podjęcia takiej decyzji. Każda z wsi miała bowiem odrębny charakter i stanowiła osobny organizm osadniczy. Można przypuszczać, że w grę wchodziły tutaj względy polityczne i podniesienie rangi robotniczego Lubonia. Jaka by nie była przyczyna tej decyzji, to dziś mieszkańcy Lubonia dumni są ze swojego miasta i cieszą się z jego rozwoju.

Opracowano na podstawie:

Portal Wikipediapl.wikipedia.org, adres strony <http://pl.wikipedia.org/wiki/Lubo%C5%84>
- tekst jest objęty licencją GNU FDPL

Wademekum Lubońskie, cz. 1, dodatek do Wieści Lubońskich, nr 2/2004, s. 2 Wyd.
Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe Forum Lubońskie, Luboń 2004.

Wspomnienia z okresu II Wojny Światowej



Druga wojna światowa odcisnęła piętno nie tylko na tych, którzy ją przeżyli, ale także na następnych pokoleniach. Seniorzy uczestniczący w projekcie „Camelot - nasze małe historie”, zechcieli się z nami podzielić swoimi, czasem bolesnymi przeżyciami. Wspomnienia te są o tyle ciekawe, że zostały opowiedziane z perspektywy dzieci, bo uczestnicy naszego projektu byli w okresie II Wojny Światowej dziećmi lub tylko trochę starszą młodzieżą.



Ania Menes: Czy mają Państwo jakieś szczególne wspomnienia związane z II wojną światową?

Pan Franciszek Antoniewski: Ja najbardziej zapamiętałem koniec wojny, kiedy Rosjanie weszli do naszego domu i wszystko splądrowali. To wydarzenie jakoś najmocniej utkwiło mi w pamięci.

Pani Aleksandra Koperska: Ja także nie wspominam miło tamtego okresu. Moja rodzina została wypędzona z domu i mieszkaliśmy w jakiejś komórce na węgiel i ziemniaki, podczas gdy Niemcy panoszyli się w naszym domu. Byłam dzieckiem i wspomnienia mam trochę pourywane. Pamiętam, że przy ul. Dworcowej znajdował się mały plac, na którym stały niemieckie czołgi. W czasie wojny moja mama pracowała przy załadunku ziemniaków. Było trzeba zasłaniać okna, chodzić z kanką po mleko i bardzo ciężko było zdobyć chleb. Kiedy mojego ojca wysłano na roboty do Niemiec, było nam jeszcze ciężiej. Kiedy wojna się kończyła, widziałam jak Rosjanie pędzili w kierunku Puszczykowa jeńców niemieckich - to jest okropne wspomnienie i nie chciałabym do tego wracać. Myślę, że wiele racji jest w powiedzeniu, że inaczej by się żyło, gdyby każde pokolenie przeżyło wojnę. Człowiek widzi wtedy, co naprawdę jest w życiu ważne.

Ania: Jak w czasie wojny chodziło się do pracy, do szkoły?

Pan Franciszek: Pamiętam, że gdy chodziłem do pierwszej klasy, to miałem około kilometra do szkoły. Zimą chodziłem w drewniakach, bo tak było cieplej.

Ania: A jak wyglądały kontakty z Niemcami?

Pani Aleksandra: Kiedy była taka potrzeba, całe polskie rodziny musiały pomagać i pracować u Niemców. Najwięcej w okresie żniw, ale także w innych pracach gospodarskich, na przykład przy wykopkach, przy zbieraniu drewna na opał.

Pan Ludwik Kupiec: Ja tamten czas wspominam smutno, bo w mojej rodzinie podczas okupacji zginęli tata, żona brata i jego dwoje dzieci. Niemcy otoczyli wioskę. To było w górach- powiat limanowski. Tam byli polscy partyzanci i stale były jakieś walki pomiędzy Niemcami i partyzantami. Niemcy przyjechali w nocy, otoczyli wieś i wszystkich mieszkańców, zebrali pod lasem do stodoły. Tam ich zamknęto, polano benzyną i spalono. Brat mój był w tym czasie w pracy na nocce. W tej stodole spłonęła żona mojego brata i jego dwoje dzieci. Dziewczynka miała sześć lat, a chłopiec dwa lata. Na drugi dzień, ci którzy przeżyli tak jak mój brat, wśród zgłiszczy szukali ciał swoich bliskich. Brat rozpoznał ciała swojej rodziny dzięki przypadkowi, bo tylko po sprzączce od paska. Jego synek lubił mu ten pasek podbierać i tak było tym razem. Umarli razem, wtuleni w siebie.

W czasie wojny byłem młodym chłopakiem i dwa razy byłem wysłany do Niemiec na roboty. Gdy mnie wysłali pierwszy raz, przypadkowo udało mi się uciec z transportu. Gdy nas wyprowadzili z pociągu, część ludzi zaczęła uciekać i ja jakoś między nimi się zaplatałem i uciekłem razem z nimi. Po trzech miesiącach Niemcy zabrali mojego starszego brata i powiedzieli, że koniecznie muszę się stawić, bo jeśli nie, to jego wywiozą zamiast mnie. Miałem wtedy szesnaście lat i stawilem się. Oczywiście wywieźli nas obu do Generalnej Guberni i tam wypuścili mojego brata. Dostałem się do Krakowa, gdzie przygotowywano transport do Niemiec. Do tego transportu zgłosiłem się już na ochotnika, ponieważ w międzyczasie moja siostrę Niemcy złapali podczas łapanki i wywieźli do Rzeszy na roboty, a ja chciałem być bliżej niej. Załatwiła mi to taka jedna „volksdojczka”. Jak się wyjeżdżało do Niemiec to było trzeba przejść bardzo dokładne badania lekarskie. Chodziło o to, żeby przymusowi robotnicy nie zarazili Niemców jakąś chorobą zakaźną. Badali nas trzy dni, a potem zapędzili do łaźni i ogolili głowy.

Na dworcu w Krakowie wydarzyła się niesamowita rzecz. Spotkałem tam pewną kobietę, która zauważyła, że byłem bardzo zdenerwowany. Nas ochotników, Niemcy na szczęście nie pilnowali zbyt mocno. Nagle ona podchodzi do mnie i pyta czy chcę uciekać. Ja jakoś tak niezbyt pewnie powiedziałem, że nie chce uciekać, bo ja jadę do Niemiec jako ochotnik. Ale ona nie uwierzyła i powiedziała: Ja mogę cię wyprowadzić z tego dworca. To nie było takie łatwe, bo wszędzie były bramki i patrole niemieckie. Ale ona nie była sama. To była zorganizowana grupa, która pomagała uciekać

ludziom z transportu. Kobieta przywołała kogoś, kto zorganizował dla mnie bilet i dzięki temu mogłem wyjść z dworca.

Już po chwili miałem w rękach „peronówkę” i opuściłem dworzec. Byłem wolny, ale nie miałem pieniędzy. Ci ludzie znowu mi pomogli, bo za swoje pieniądze kupili mi bilet do domu. Po powrocie w rodzinne strony ukrywałem się przez dwa lata, ponieważ wszyscy myśleli, że jestem na robotach w Rzeszy.

Ania: A czy słyszeli Państwo o pomocy dla Żydów?

Pani Aleksandra: Ja nie przypominam sobie, żebyśmy mieli jakieś specjalne kontakty z Żydami, ale wszyscy wiedzieli, że w Żabikowie był obóz, w którym Niemcy przetrzymują Żydów. Niemcy zamykali tam ludność żydowską nie tylko z Wielkopolski, ale ponoć przywozili ich z całego kraju.

Ania: Jak ludzie reagowali, że ten obóz był tutaj? Czy pamiętają Państwo jakieś rozmowy na ten temat?

Pan Franciszek: A jak mieli reagować? Ludzie w obozie doświadczali strasznych rzeczy, ale pomagać im bali się wszyscy. Niemcy w takich sytuacjach nie znali litości. Udzielanie pomocy więźniowi - pół biedy, ale żydowskiemu więźniowi - to była śmierć. Dla Niemców to była zbrodnia.

Ania: A kto budował ten obóz?

Pan Franciszek: Niemcy kazali, to ludzie go zbudowali, ale kto dokładnie, nie mam pojęcia. Na pewno nie Niemcy, chyba więźniowie żydowscy. Ale nie jestem pewien.

Ania: A czy było wiadomo co dzieje się na froncie? Czy docierały do Lubonia takie wiadomości?

Pani Aleksandra: Nie było radia, zresztą słuchanie radia dla Polaków było zabronione. Czasami coś tam się mówiło o froncie, ale ja nie pamiętam. Byłam małą dziewczynką i nie do wszystkiego przywiązywałam wagę, co się wtedy działo wokół mnie.

Ania: A czy w czasie wojny, na terenie Lubonia działały jakieś organizacje konspiracyjne?

Pan Franciszek: Być może jakaś działała. Ja nic o tym nie wiem, ale czasy były takie, że nikt się takimi działaniami szczególnie nie chwalił.

Ania: A może w Poznaniu jakieś organizacje były? Czy Lubonianie byli ich członkami?

Pani Aleksandra: Wtedy nikt się do tego nie przyznawał, a po wojnie ludzie też o tym za dużo nie rozmawiali. Nie było Niemców, ale za to byli Rosjanie i zbyt nadgorliwi sąsiedzi. Ludzie bali się donosów i NKWD.

Ania: Czy podczas wojny istniała możliwość utrzymania kontaktu z rodziną za granicą?

Pani Aleksandra Koperska: Nie, absolutnie. Mój ojciec trafił do Kanady i my o tym w ogóle nie wiedzieliśmy. Nie było możliwości kontaktu.

Ania: A jak wojna zmieniła życie codzienne w Luboniu?

Pan Franciszek: To był czas strasznej biedy. Bogaty był ten, kto miał ziemniaki, chleb i mleko.

Ania: Jak było po wojnie? Czy jakieś szczególne wydarzenie utkwilo Państwu w pamięci?

Pan Ludwik: Chyba wypadki czerwcowe, pamiętam, że na ulicy dojazdowej do Poznania było mnóstwo czołgów. Wojsko przerwało kontakt z Poznaniem, ale prawdziwa tragedia była z zaopatrzeniem. Nie wiem dlaczego, ale w Poznaniu chyba nie piekli chleba i wojsko musiało przywozić pieczywo aż z Bydgoszczy.

Pani Aleksandra: Pamiętam, że wtedy były targi i wszyscy szli w kierunku kina „Bałtyk”, dziś stoi hotel Sheraton. Tam wojsko, albo milicja, zaczęła rozpędzać wszystkich armatkami wodnymi. A przyjezdnych było naprawdę wielu.

Idę na dworzec, a tu mostem dworcowym jedzie kilka samochodów, a na nich milicjanci i wojsko. Ludzie uciekali na dworzec, ale tam nie było lepiej. Gdy pociąg przyjechał; wyprowadzano z niego maszynistę i pociąg kończył swój kurs.

Pani Antoniewska: Puszczali tylko towarowe pociągi i ludzie na nie próbowali wsiadać, żeby dostać się do domów. Pamiętam, bo sama wsiadłam do takiego pociągu, żeby wrócić do Lubonia.

Ania: A możliwe były odwiedziny rodzinny z zagranicy?

Pani Aleksandra: Raczej nie. Gdyby ktoś przyjechał do Polski, to mógłby mieć kłopoty, żeby stąd wyjechać.

Moja znajoma miała brata, który po wojnie został w Anglii. Ponownie udało im się dopiero spotkać na początku lat siedemdziesiątych.

Ania: A kartki? Czym właściwie były kartki i skąd się je brało?

Pan Ludwik: Kartki wydawały zakłady pracy. Jednym słowem - trzeba było pracować, żeby mieć kartki. Kartki były na wszystko. Na cukier, na buty, nawet na wódkę i na kawę.

Pan Franciszek: Z tamtego okresu pamiętam bardzo dobrze, że w kolejce po węgiel było trzeba już się ustawiać wieczorem i stało się w niej przez całą noc. Rano przychodziła zmienić mnie żona i ja, prosto z tej kolejki, szedłem do pracy.

Te wspomnienia są różne i smutne i radosne.



Obóz w Żabikowie

Żabikowo to miejsce szczególne w Luboniu - to tutaj znajdował się w okresie II wojny światowej Obóz Pracy Przymusowej dla Żydów (1941-1943 r.) oraz Więzienie Policji Bezpieczeństwa i Wychowawczy Obóz Pracy (1943-1945 r.).

To miejsce bardzo ważne choć dziś już jakby trochę zapomniane przez mieszkańców Lubonia.

Starsi mieszkańcy niechętnie odwiedzają muzeum i teren obozu, bo z tym miejscem wiążą ich często bolesne wspomnienia.

Wspomnienia seniorów powinny skłaniać do refleksji, bo to co żywe dla nich, nie powinno być obce dla następnych pokoleń. A świadomość miejsca i jego historii buduje tożsamość następnych pokoleń.



Seniorzy oprócz wspomnień, na nasze spotkania przynosili również pamiątki, zdjęcia i dyplomy sportowe.



Pani Aleksandra Koperska, zapalona lekkoatletka, prezentuje swoje dyplomy z czasów szkolnych, które otrzymywała za wyniki sportowe. A wyniki były takie, że i młodzież i wolontariusze bili brawa z podziwu.

Pomnik Siewcy w Luboniu

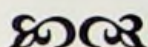


Wznoszący się nad częścią Lubonia zwaną Laskiem, pomnik Siewcy to jedna z niewątpliwych wizytówek miasta oraz powszechny punkt orientacyjny dla wielu mieszkańców.

Cóż takiego niezwykłego kryje w sobie ta spora rzeźba i dlaczego co niektórzy nazywają ją egzotycznie „allachem”? I jak to się stało, że w naszych rozważaniach o Luboniu znalazł również pomnik?

Autorem tego jak się okazuje, oryginalnego monumentu, bo chwającego nie spektakularne zwycięstwa czy wybitne jednostki, ale często niedocenianą, bo codzienną pracę na roli, jest rzeźbiarz Marcin Rożek.

Historię i dość burzliwe dzieje pomnika usłyszeliśmy podczas jednego z naszych spotkań.



Kacper Rybacki: W którym roku powstał pomnik Siewcy? - rozpoczął rozmowę nasz młodszy rycerz.

Pan Benon Matecki: Pomnik powstał na długo przed wojną, w 1926 roku.

Kacper: Czy wie Pan kto postawił pomnik?

Pan Benon, jak się okazało, znawca tematu odpowiedział: Ufundowała go spółka nieżyjącego już wtedy Romana Maya, który jak pewnie wiecie jest nie tylko założycielem fabryki nawozów fosforowych, ale był on również społecznikiem prowadzącym bezpłatne wykłady i konsultacje. W czasach kiedy żył, bardzo się przyczynił do rozwoju przemysłu i nauki.

- Jak wyglądało odsłonięcie pomnika? - kontynuował Kacper

Pan Benon: To było bardzo dawno i nie było mnie jeszcze na świecie, więc niestety nie wiem. Nie widziałem też żadnych fotografii, ani zapisków dotyczących tego wydarzenia.

- Kacper nie dając za wygraną zapytał: Czy mógłby mi Pan opowiedzieć jeszcze coś ciekawego na temat pomnika Siewcy?

Pan Benon zasypał nas szeregiem fascynujących opowieści: Nie wiem czy wiecie, ale w 1945 albo 46 roku popiersie Romana Maya, które znajduje się u dołu pomnika zostało usunięte. Nikt dokładnie nie wiedział, kto

zdał i zabrał tę część. Niektórzy mówili, że to sprawka Sowietów, inni, że zrobili to robotnicy zakładów chemicznych. I to właśnie jest prawda. Były to takie czasy, że nagle zaczęto podejrzewać Maya o to, że był hrabią, albo burżuazyjnym kapitalistą a wizerunek takiej osoby nie mógł wówczas znajdować się w publicznym miejscu. Popiersie Maya ukrył Kebler, który najpierw był mistrzem, a później inżynierem w fabryce.

W czasie ponownych przenosin popiersia, przy renowacji pomnika, miałem okazję rozmawiać z plastykiem zajmującym się odnową i zwróciłem mu



Pomnik Siewcy - „allach” był naszym punktem zbiórki, przed wyprawą nad „Kocie Doły”

uwagę, że Mayowi brakuje wąsa. Ten powiedział, że to żaden problem i dorobiono mu brakującą część zarostu.

Z pomnikiem wiąże się też inna historia. Kiedyś chciano zabrać nasz oryginał i postawić go przed wejściem do Akademii Rolniczej w Poznaniu, na szczęście nie zgodzono się na to. Teraz przed poznańską uczelnią stoi pomniejszona kopia, a my w Luboniu nadal mamy oryginał.

Z ciekawostek związanych z pomnikiem, przypomina mi się jeszcze jedna opowieść. Gdy remontowano pomnik, okazało się, że Siewca ma przestrzeloną głowę. Musiało się to zdarzyć podczas wojny, prawdopodobnie pilot niemieckiego, albo rosyjskiego samolotu, lecąc nad Luboniem zauważył pomnik i zrobił sobie z niego cel do strzelania. Ale jak do dokładnie było, to niestety nikt nie wie.

Nie wiem czy wiecie, ale skwer na którym stoi pomnik należał kiedyś do zakładów chemicznych, a cały ten teren był ogrodzony. Było tak do lat siedemdziesiątych. Później zdecydowano się zlikwidować siatkę i urządzono tam zielony skwer, zasadzono krzaki i zrobiono plac zabaw dla dzieci. Wszystkim starszym mieszkańcom Lubonia, teren pod pomnikiem kojarzy się przede wszystkim z zabawami tanecznymi, jakie urządzano tu w ciepłe wiosenne i letnie wieczory.

- Dlaczego pomnik nazywany jest „allachem”? - zapytał Kacper

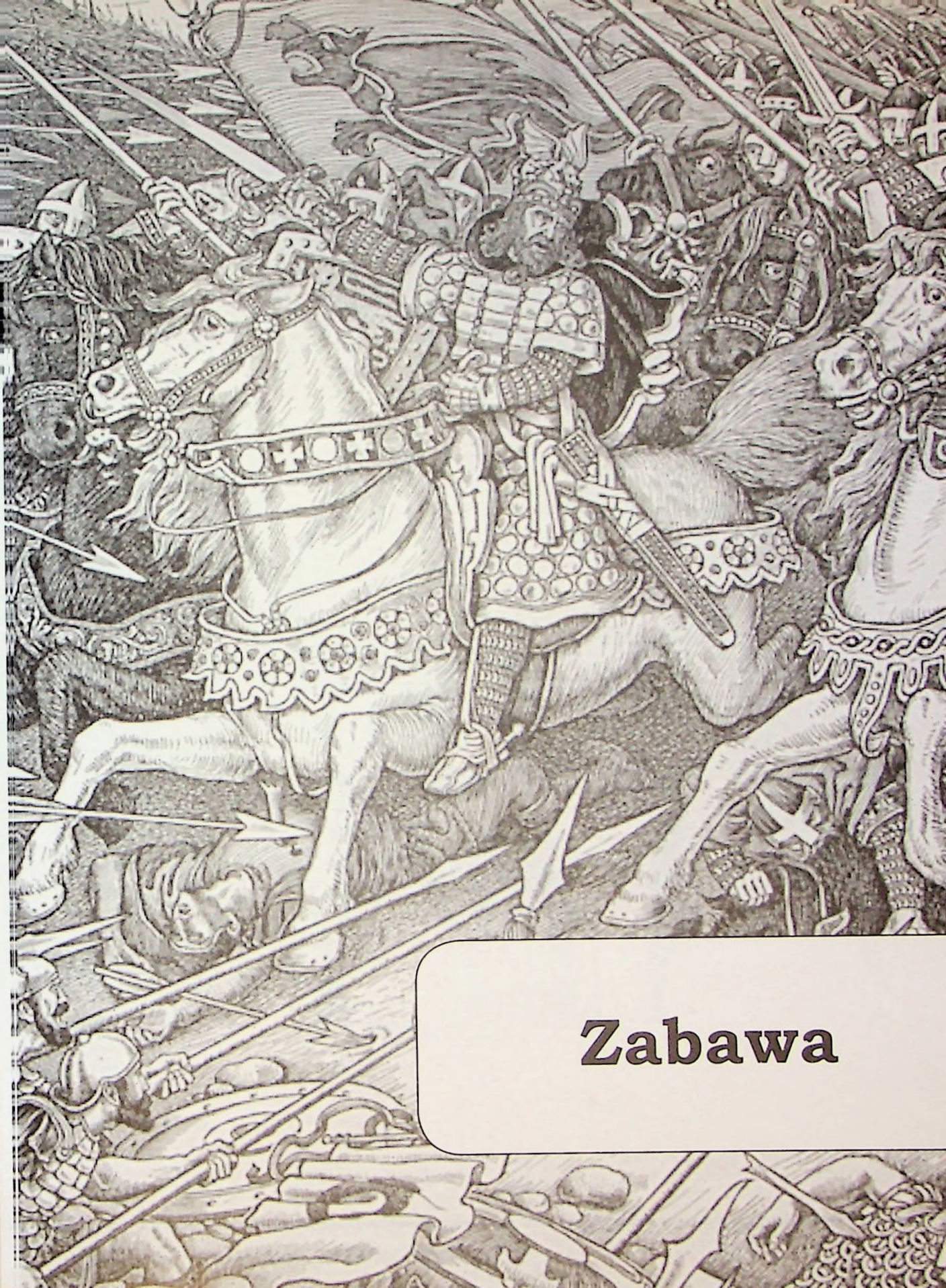
Panu Stanisławowi Kostrzewskiemu udało się odpowiedzieć na to od dawna nurtujące wszystkich pytanie: Tego nikt dokładnie nie jest pewien, nie wiadomo też kto pierwszy raz tak nazwał Siewcę. Przypuszczam, że nazwa „allach” może być powiązana z tym, że w tamtych czasach stawiono głównie pomniki religijne katolickie, a ten był jednym z nielicznych, który przedstawiał osobę świecką rolnika siejącego zboże. Chyba właśnie dlatego nazwano go żartobliwie „allachem”.



Wspólna rozmowa o pomniku, przekształciła się w podróż do przeszłości miasta i żyjących w nim ludzi. Ukazała gimnazjalistom pasjonującą historię związaną z dobrze znanym monumentem, tym samym przybliżając jego oblicze. Czy teraz przechodząc pod pomnikiem Siewcy młodzi Lubonianie będą mijali go z obojętnością?



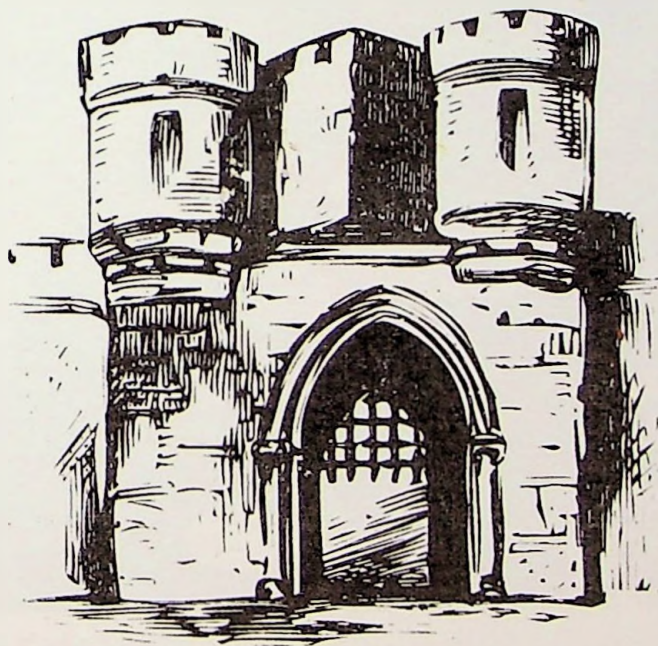
Wizerunek Dr Romana Maya umieszczony na pomniku „Siewcy”. Roman May był założycielem pierwszych nowoczesnych zakładów chemicznych w Wielkopolsce. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. utworzona przez niego spółka przejęła, znajdujące się w Luboniu, zakłady chemiczne.



Zabawa



Kino



W ramach projektu „Camelot - nasze małe historie” seniorzy i młodzież spotkali się po raz kolejny w Ośrodku Kultury w Luboniu. Tematem dyskusji było kino w Luboniu. Starsi dzielili się wspomnieniami związanymi z miejscami, gdzie można było oglądać filmy. Jedni i drudzy porównywali, jak sytuacja kina zmieniła się przez lata.

Pierwsze wzmianki o kinie w Luboniu dotyczą kina objazdowego. Już w czasie wojny przywożono tutaj sprzęt i taśmy. Na podwórku Szkoły Podstawowej nr 1 stawiano ławy i organizowano seanse dla spragnionych filmowej uczty mieszkańców Lubonia.



Wspomnienia o kinie zamieniły się w burzliwa dyskusję, kto chodził do kina, jak często i na jakie filmy. Seniorzy próbowali sobie przypomnieć, ile kosztował bilet do kina i choć nikt tego nie pamięta, wszyscy zgodnym chórem twierdzili, że oszczędzali i chodzili do kina, czasami dwa, trzy razy na ten sam film.

Kacper Rybacki, młody uczestnik projektu „Camelot - nasze małe historie”, pytał seniorów o ich doświadczenia związane z kinem w Luboniu:

Kacper: Jak często przyjeżdżało kino?

- Chyba raz na miesiąc. A wiem dlatego, że zawsze moi rodzice to wspominali. Pamiętam, że moja mama z siostrą chodziły do kina. Już w czasie wojny wyświetlano filmy. To była wielka rzecz, wielkie wydarzenie i atrakcja. Dzieciaki z tej okazji były zwalniane z lekcji - wspominała Pani Janina Baumann.

Nie było telewizora, więc to była jedyna rozrywka. Plakaty informujące o seansach wisiały wszędzie - dodała Pani Janina.

Kacper: Jak wyglądały sale?

Pan Franciszek Antoniewski przypominał sobie, że filmy wyświetlane były też w pomieszczeniu - To była wielka sala, podobna do sali gimnastycznej - mówił.

Kacper: Czy można było kupić coś do jedzenia przed seansem?

- Nie, nie można było. Wtedy była bieda - odpowiedziała Pani Janina.

Obecny na spotkaniu Stanisław Leśny, który z zawodu był kinooperatorem wracał pamięcią do czasów, kiedy kino zaczęło funkcjonować w Luboniu na dobre:

- Były dwa stałe kina w Luboniu nazywały się „Wrzos” i „Znicz”. Przed filmem puszczano zawsze kroniki, a nie tak jak teraz reklamy. Najwięcej pokazywano filmów zagranicznych. Wyświetlano np. komedię „Świat się śmieje” - dodaje pan Stanisław.

Warto przypomnieć, że „Wrzos” zaczął działać na dobre w latach 1964-1977 w Domu Kultury Zakładów Ziemniaczanych (jest to dzisiejszy budynek Ośrodka Kultury przy ul. Armii Poznań). Otwarte projekcje filmów odbywały się we wtorki, czwartki i niedziele. W pozostałe dni sala miała charakter świetlicy. Zyski z działalności kina przeznaczane były na rzecz Związków Zawodowych, które kierowały Domem Kultury. Oprócz kierownika kina pracowało tam dwóch kinooperatorów i dwie bileterki a od 1964 roku przez następne 11 lat odbywały się spotkania Klubu Filmowego „Luboziem”.

Do lat 70. prężnie działały w Luboniu dwa kina. Wcześniej wspomniane kino „Wrzos” przy ulicy Armii Poznań i kino „Znicz” przy placu Wolności (dziś plac E. Bojanowskiego). To ostatnie funkcjonowało w prywatnym budynku należącym do właściciela okolicznych terenów - Pawła Bednarza. Przed wojną organizowano tam zabawy taneczne i działała restauracja. Pod koniec lat 70-tych przekształcono budynek w Dom Rolnika i bibliotekę co było jednoznaczne z likwidacją kina. Podobny los spotkał kino „Wrzos”, które zostało zamknięte w 1977 roku.

Dociekliwy Kacper nie dawał za wygraną - dalej drażył temat:

- *Ile kosztowały bilety?* - skierował się z pytaniem do seniorów.

- Możliwe, że tyle ile teraz. Ale to były inne pieniądze i inne zarobki. Dokładnie nie pamiętam - wyznaje szczerze Pani Janina.

Za to Pan Franciszek doskonale orientował się jakie zasady obowiązywały przed wejściem do kina.

- Aby wejść na film „dla dorosłych” trzeba było mieć 18 lat. Czasami udawało się uśpić czujność obsługi, gdy ktoś wyglądał na starszego. Gorzej, gdy się było pełnoletnim, ale wygląd o tym nie świadczył. Wtedy najczęściej nie wpuszczano. Można było zapomnieć danego wieczoru o filmowej rozrywce. Należy dodać, że dawniej filmy były wnikliwiej kontrolowane i młodzi widzowie mieli do nich ograniczony dostęp.

Wracając do dzisiejszych realiów - Kacper zastanowił się głośno:

- *Czy zdarzyło się, że zabrakło biletów?*

Wszyscy seniorzy odpowiedzieli zgodnie, że nie. Na co młody dziennikarz z jeszcze większą dociekliwością zapytał:

- *A jaki pierwszy film Państwo pamiętają?*

Tutaj większość zamilkła poszukując w zakamarkach swojej pamięci obrazów i konkretnych tytułów.

Pierwszy film powojenny to „Zakazane piosenki” - rzucił od razu Pan Stanisław Leśny.

Tak, tak - potwierdziła zgodnie część obecnych na sali. Również młodzi uczestnicy znali ten tytuł. W większości z tego względu, że była to jedna

z pierwszych pozycji jaką uczestnicy projektu oglądali na wspólnych spotkaniach filmowych.

Pan Stanisław Kostrzewski zwierzył się ze swoich upodobań:
Osobiście mi do gustu przypadł film „Przygoda na Mariensztacie”, wspominam go z sentymentem.

Na koniec Kacper chciał się upewnić:

- *Czy byli przeciwnicy kina objazdowego albo czy komuś kino przeszkadzało?*

- Nie. Każdy się cieszył, bo wtedy nie było radia i telewizji. Czasy były ciężkie, więc każdy chciał iść do kina i zobaczyć inny świat - zakończyła Pani Janina.



Kino w Luboniu miało swoich wiernych odbiorców i zawsze wywoływało poruszenie. Przyjazd kina objazdowego to była dla wszystkich mieszkańców wielka atrakcja. Jedną z niewielu rozrywek, która dawała chwilę oddechu i zapomnienia o wojnie. W czasie, gdy Luboń zyskał dwa kina na stałe. „Wrzos” i „Znicz” miały w swoim repertuarze nierzadko arcydzieła kinematografii polskiej i światowej. Dzięki temu na seanse przychodziło wielu widzów. Po nich, trwały w salach kinowych gorące dyskusje i wymiana wrażeń. Podobne emocje towarzyszyły młodzieży i seniorom na spotkaniu w ramach projektu „Camelot - nasze małe historie”. Szkoda, że dziś w naszym mieście nie ma kina, gdzie mogliby razem się wybrać na film i wspólnie spędzić czas.

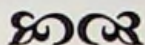
Opracowano na podstawie:

Wademekum Lubońskie, cz. 8, dodatek do Wieści Lubońskich, nr 10/2004, s. 32 Wyd.
Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe Forum Lubońskie, Luboń 2004.

Miejsca wypoczynku w Luboniu



 Jest czas pracy i czas odpoczynku. To stara prawda, którą wielu zna i chętniej wybiera drugą jej część. Uczestnicy spotkań w ramach projektu „Camelot - nasze małe historie” poszli tym samym tropem. Tematem dyskusji był właśnie wypoczynek. Opowiadali oni o miejscach, w których najchętniej spędzali czas wolny. Obecni na spotkaniu starsi mieszkańcy Lubonia dzielili się wspomnieniami na temat imprez kulturalnych i spotkań towarzyskich. Pytania seniorom zadawała lubońska młodzież.



Dominik Jacynowski: Jakie były najczęstsze formy wypoczynku w dawnym Luboniu?

- Ja bardzo lubiłam piesze wycieczki nad Wartę i wyprawy rowerowe do Puszczykowa - wspominała Pani Aleksandra Koperska.

Pani Irena Skrzypczak: Mieszkańcy Żabikowa szli do konkretnego miejsca wypoczynku. Myślę, że takim miejscem była muszla koncertowa na placu Wolności w Żabikowie. Tam był taki skwer, gdzie bardzo dużo osób się spotykało. Oprócz tego spędzano czas nad tzw. „szachtą”, czyli największą z glinianek na granicy Poznania i Lubonia. Do teraz dużym powodzeniem cieszą się Kocie Doły.

- *Wcześniej ktoś wspominał o Kocich Dołach. Co to właściwie jest? To była plaża?* - dopytywał się Adrian Liske, główny organizator i najwytrwalszy wolontariusz „Camelota”.

- Nie, tak nazywają się tereny zielone i zbiornik wodny przy starym korycie Warty. Wszyscy mieszkańcy Czajkowa i Dolnego Lasku tam przyjeżdżali. Dawniej w sobotę i niedzielę ludzie rozkładali koc przy kocu. Mnóstwo rodzin z dziećmi odwiedzało to miejsce - wyjaśniła Pani Irena i dodała:

- Takich zorganizowanych wycieczek to raczej nie było. Ludzie sami się zbierali. Póki jeszcze była przystań kajakowa nad Wartą, to tam ludzie się bawili. Na wiosnę odbywały się zawody kajakowe czy puszczanie wianków.

- Tak, wianki były - potwierdziła Pani Irena.

Beata Jacynowska, młodsze ogniwo „Camelota”, zadała kolejne pytanie: A jak spędzało się wakacje?

- Najpierw się zbierało jagody nad Wartą. Kiedy skończyły się jagody, to chodziło się do lasu zbierać szyszki i chrust. Dzięki temu była pełna piwnica opału - zabezpieczenie na zimę. Chodziliśmy na łąkę grać w ognika. Często bawiliśmy się w klasy i kamyczki. Chętnie wyjeżdżaliśmy też na kolonie - relacjonowała Pani Irena.

- *A te kolonie były organizowane przez szkoły? - chciała upewnić się Beata.*

- Nie, organizatorem były Zakłady Ziemniaczane i Zakłady Chemiczne w Luboniu - odpowiedziała Pani Irena.

- Tak jest. Taka moda była. Teraz tego nie ma - potwierdziła Pani Aleksandra.

*Dominik, przedstawiciel naszej młodzieży w „Camelocie”, zagadnął:
Czy ktoś może pamiętać statek Dziwosza?*



*Miejsc, w których kiedyś się spotykano, już nie ma.
Nasi seniorzy sami zorganizowali spotkanie w ogródku jednego
z mieszkańców Lubonia. Było tak jak kiedyś, śpiewy, tańce, dużo
rozmów i śmiechu.*

- To był statek Dziwożona. Statek płynął z Poznania, zatrzymywał się w Puszczykowie i w Luboniu. Brał ludzi, jeśli miał wolne miejsce, a na pokładzie organizowano imprezy - wyjaśniła Pani Irena.

- A jakie fale robił ten statek! - dodał Pan Franciszek Antoniewski.

- *A czy nad Kocimi Dołami było wyznaczone jakieś kąpielisko? - powrócił do tematu Adrian.*

Pani Irena wspomina: Ludzie sami je sobie wyznaczyli naprzeciw ulicy Łąkowej. Plaża była piękna, bo nie zaśmiecona - żadnych worków foliowych, puszek i butelek po piwie.

Beata: A gdzie chodziło się niegdyś na potańcówki?

- Dużo zabaw odbywało się pod „allachem” i przy Zakładach Chemicznych tzw. „fosforach” - odparł Pan Franciszek.

- „Allach”? - zdziwił się Dominik Jacynowski.

Pan Franciszek wyjaśnił: To pomnik Siewcy. Teraz trochę rzadziej się używa tej nazwy. Tam głównie robiono imprezy: obchody 1 maja, Dzień Dziecka i różne festyny.

- *A Zakłady Ziemniaczane też organizowały imprezy? - dopytywał Adrian Liske.*

- Tak. Pamiętam, że orkiestra na nich grała - potwierdził Pan Franciszek.

- I jest też sala kinowa przy ulicy Armii Poznań, która teraz należy do Domu Kultury. To kiedyś tam wszystkie imprezy były organizowane - przypomniała sobie Pani Irena.

Adrian chcąc się upewnić zadał kolejne pytanie: Czyli główne potańcówki odbywały się przy Zakładach Ziemniaczanych?

- Tak, odpowiada zdecydowanie Pani Irena.

- *Jakiejś innej sali nie było, strażacy nie organizowali potańcówek? - kontynuował Adrian.*

- Strażacy raczej nie robili potańcówek - wyjaśniła Pani Jadwiga Antoniewska.

- Nie, strażacy nie zajmowali się tym - potwierdził pan Franciszek.

Pani Irena dodała: Straż Pożarna częściej na wsi coś organizowała. Głównym animatorem kultury były wtedy zakłady pracy. To one inicjowały wycieczki, imprezy a czasem nawet grzybobrania.

Beata zmieniając temat: A z rodzicami gdzie się wychodziło?

- Na pochody pierwszomajowe - wyznała Pani Irena. Na co wszyscy wybuchają śmiechem.

Po chwili Beata dopytuje: A jak to wyglądało?

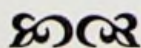
- Zbiórka była na boisku szkolnym lub przed zakładem pracy - odpowiedziała Pani Irena.

Pan Franciszek potwierdził: Tak. Uczniowie przeważnie na boisku przy szkole mieli zbiórkę.

- Czy były organizowane kolonie przez szkołę? - Dominik zadał ostatnie pytanie tego spotkania.

- Z reguły zakłady pracy się tym zajmowały - odparła Pani Jadwiga. Na co Pan Franciszek dodał: Ja jednak pamiętam, że w szkole były organizowane półkolonie.

- Ogólnie było inaczej. Częstsze niż teraz były spotkania towarzyskie, a poza tym zakłady pracy wychodziły z własnymi pomysłami - podsumowała na koniec Pani Irena.



Kolejne spotkanie uczestników projektu „Camelot - nasze małe historie” dobiegło końca. Wyłonił się obraz Lubonia, gdzie mieszkańcy chętnie korzystali z zorganizowanego wypoczynku lub też sami podejmowali inicjatywę i na własną rękę, szukali nowych miejsc w swoim mieście i okolicach. Miejmy nadzieję, że takich miejsc odpoczynku będzie w Luboniu przybywać.



Podczas spotkania w ogródku. Przygrywała muzyka na żywo i z magnetofonu. Młodzież bawiła się przy muzyce seniorów, a potem seniorzy przy muzyce młodzieży.



Do biesiady w ogródku dołączyli sąsiedzi. Były spotkania po latach, wspólne wspomnienia.



W ogródku każdy siedział na czym się dało. Na krzeselkach plastikowych, na pieńkach i na trawie. Wszelkie niewygody były nieważne, liczyło się to, że byliśmy razem.



**Życie
codzienne**

Szkoła



emat szkoły zawsze budzi emocje wśród dzieci i młodzieży. Podczas jednego z naszych spotkań projektowych, młodzież postanowiła wypytać seniorów o ich wspomnienia związane ze szkołą.



Rozpoczął Kacper Rybacki pytając: Jak kiedyś wyglądał dzień w szkole?

Pani Janina Baumann emerytowana nauczycielka odpowiedziała: Lekcje zaczynały się o ósmej, ale do szkoły chodziło się od poniedziałku do soboty. Wolna była tylko niedziela, jestem pewna, bo gdzieś mam jeszcze stary plan lekcji.

- Czy lekcje nie trwały krócej? - zapytał Adrian Liske.

Pani Janina: Nie, lekcje trwały 45 minut, tak jak dzisiaj.

Adrian: A jak liczne były wówczas klasy?

Pani Janina: Klasy były bardzo liczne. Zdarzały się klasy, gdzie było aż pięćdziesięciu uczniów. W dużej mierze, zależało to od rocznika i czy ten rocznik należał do wyżu demograficznego. Po wojnie było mało nauczycieli, a dużo dzieci. Teraz jest na odwrót. Rodzi się mało dzieci, klasy już nie są takie liczne a nauczycieli jest coraz więcej.

Kacper: Można powiedzieć, że klasy były wówczas zgrane?

Pani Janina: O tak! Dzieci w klasie były bardzo zgrane i miały duży szacunek w stosunku do nauczycieli. O wiele większy niż teraz.

Kacper: A jak karano uczniów za jakieś przewinienia? Czy były kary cielesne?

Pani Janina: Pytacie o kary? Mój nauczyciel z matematyki, Kinal się nazywał, dziewczyn nie karał, ale chłopcom często się dostawało. Takiemu delikwentowi kazał się położyć na ławkę i walił linijką po rękach albo przez spodnie. Czasami i w kącie się stawało ale i trzcinka często była w użyciu.

Pani Stefania Leśna: Ja pamiętam, że nie było można było czesać się w koński ogon, bo za to też była kara.

Adrian: Dlaczego?

Pani Stefania: Nie wiem, ale z jakiś powodów akurat ta fryzura nie podobala się nauczycielom a w tamtych czasach uczniowie liczyli się z opinią pedagogów. W czasie lekcji panowała cisza, może dlatego, że nauczyciele mieli większy autorytet?

Kacper: Jak często organizowano wyjazdy, wycieczki?

Pani Janina: Na pewno nie tak często jak teraz, ale wyjazdy były organizowane. Najbardziej pamiętam te, organizowane przez harcerstwo i PCK. Bardzo dobrze pamiętam obozy harcerskie - one naprawdę dawały dzieciom dużo radości.

Pani Stefania: Ja pamiętam, że latem zakłady pracy też organizowały kolonie dla dzieci.

Pani Janina: Bardzo dobrze wspominam różne klasowe wycieczki.

Pani Kazimiera Kostrzewska: Ja też pamiętam. Chodziliśmy za miasto na pola kukurydzy, zbieraliśmy chmiel, albo tak po prostu - na spacer.

- Ale kiedy to było? Przed wojną czy po wojnie?- włączyła się do rozmowy Pani Irena Skrzypczak.

- To wszystko działo się już po wojnie - odpowiedziała Pani Janina.

- A pamiętacie jak się chodziło zbierać stonkę? - dalej zagadywała Pani Irena.

- Obowiązkowo - potwierdza ze śmiechem Pani Stefania.

- Albo ziemniaki! Cała szkoła szła - dodaje Pani Aleksandra Koperska.

Pani Janina: Ja pamiętam, jak się do kościoła chodziło. W kościele klasy stały rzędami i musiały się dobrze zachowywać, bo tam byli również obecni nauczyciele. Oj, oni uważnie patrzyli jak uczniowie się zachowują.

Kacper: Jak wyglądały święta?

Pani Janina: Harcerstwo było bardzo rozwinięte i PCK również. Pamiętam, że w okolicy świąt przygotowaliśmy świąteczne paczki dla biednych na Polesiu. Zbieraliśmy piórniki, zeszyty, książki i wysłaliśmy na Polesie. Po jakimś czasie dostaliśmy od tych biednych dzieci paczkę. Zastanawialiśmy

się czy pogardzili naszym darem i nam go odesłali? Okazało się, że oni nam w podziękę przysłali całą paczkę pestek od dyni. Wiecie jaka to była zabawa? A te pestki od dyni były pyszne, inne niż w Wielkopolsce. Biedne dzieci, ale przysłały nam co miały.



Zdjęcie górne i dolne: zdjęcia z uroczystości szkolnych ze zbiorów prywatnych lubońskiej nauczycielki Pani Janiny Baumann.



Ania Menes: A czy w szkole było można otrzymać jakąś pomoc? Czy sobie pomagano?

Pani Janina: Oczywiście! Nauczyciele bezinteresownie pomagali, a nie za pieniądze. Wtedy lepszy uczeń miał ambicje, żeby zająć się tym słabszym po lekcjach. Po lekcjach zostawali nauczyciele i tłumaczyli niektórym uczniom to, czego nie zrozumieli na lekcji. Często jeśli kolega lepiej coś umiał, to tłumaczył innym uczniom.

Magda Grząślewicz: A czy było widać, że jedni są bogatsi, drudzy biedniejsi?

Pani Janina: Tak, wtedy już też było widać takie różnice. Chociażby nie wszystkie dzieci miały buty.

Pani Aleksandra: Wydaje mi się, że zaraz po wojnie to tak nie było widać tych różnic, dopiero potem. Ja byłam z domu ani bogatego, ani biednego



Pani Janina Baumann podczas wycieczki do Kórnika, przekazała pracownikom muzeum cenne pamiątki ze swoich zbiorów.

- takiego przeciętnego. Jak szłam do komunii to miałam zwykłe buty wyczyszczone kredą, żeby były białe.

Pani Janina: Ale wtedy rodziny były bardzo liczne. W takiej rodzinie było pięcioro, sześcioro, a czasem nawet więcej dzieci. Nie łatwo było utrzymać taką gromadkę. Ale te rodziny były jakoś ze sobą bardziej związane niż teraz.

Marta Włodarczak: A czy pamiętają Państwo Dzień Dziecka?

Pani Janina: Jakiś szczególnych uroczystości nie było, tylko dzieci miały zorganizowane przez nauczycieli albo harcerzy zawody sportowe.

Pani Aleksandra: Andrzej Ostrowski był właśnie takim harcmistrzem. Organizował zawody przy różnych okazjach. Mnie wciągnął w biegi na 400 metrów. Raz pobiegłam i potem tak się zaangażowałam, że przez 10 lat uprawiałam biegi lekkoatletyczne.

Kacper: A gdzie uczniowie chodzili po szkole?

Pani Janina: Po szkole dzieci biegały „samopas”. Rodzice pracowali, a dzieci musiały sobie same organizować czas wolny. Wtedy już było radio, ale nadawano tylko dwie audycje po południu.

Adrian: A nie organizowano żadnych zajęć pozaszkolnych?

Pani Janina: Nie, tylko harcerstwo i PCK.

Pani Kazimiera: Ale same dzieci spotykały się i bawiły się razem. Pamiętam, że bawiłam się na różnych podwórkach.

Pani Janina: Wtedy wszystkie dzieci lubiły grać w palanta. I dziewczyny i chłopcy.

Kacper: Czy w szkole były bufety?

Pani Janina: Nie, była bieda. Jeśli ktoś coś miał, to zabierał sobie z domu. Pamiętam jak któryś poeta pisał na ten temat w „Orce na ugorze”. Poeta wracał kiedyś z skądś i szukał tematu do swojej książki. Po drodze spotkał nauczycielkę i ta nauczycielka opowiadała, że przyłapała chłopca, który w kałamarz wlewał kakao. Ona go zbesztala: „Jak ty możesz ze szkoły zabrać kałamarz do domu i coś tam wlać? Co tam wlałeś? On mówi: kakao. Nauczycielka: To ty go nie wypileś w szkole? Chłopiec odpowiada: Nie.

Ja to kakao niosłem do mojej chorej mamy”. Książka dobrze opisywała dawniejsze życie. Nie było wszystkiego, płynów do kąpieli, pachnących mydeł. Życie było trudniejsze.

Pani Aleksandra: Jak mieszkałam w Luboniu, to po wodę do pompy chodziłam, a ubikacja była na zewnątrz.

Pani Janina: W szkole toaleta też była na zewnątrz, w lasku były dwie ubikacje, a dzieci w kolejce stały. Nie było oświetlenia a wodę czerpało się z pompy.

Kacper: A były przerwy w czasie lekcji?

Pani Aleksandra: Była jedna duża przerwa w czasie lekcji, reszta takie krótkie, może pięciominutowe.

Pani Janina: Dzieci w czasie przerwy mogły się pobawić w „gonito”, rozruszać mięśnie. Mogły się też wykrzyczeć, dzięki czemu mniej rozmawiały na lekcjach.

Marta: A Panie bawiły się w jakieś gry, skakanie w gumę albo skakankę?

Pani Aleksandra: W 55. dostałam piłkę taką niedużą niby ręczną, to wszyscy przychodzili żeby porzucać.

Kacper: Jak wyglądał pierwszy dzień szkoły?

Pani Janina: To zależało, w której klasie. Pamiętam, jak ja poszłam do pierwszej klasy. Wszyscy rodzice stali z boku, a pani zrobiła takie duże koło z dzieci i potem dzieliła dzieci na klasy.

Pamiętam pierwszą piosenkę „Koło mego ogródeczka zakwitała jabłoneczka”. To piosenka z pierwszej klasy.

Kacper: A zakończenie roku?

Pani Janina: Były występy i nagrody dla najlepszych uczniów. Ja dostałam książkę pt. „Historia żółtej ciżemki” z wpisem „z okazji ukończenia roku szkolnego za dobre wyniki w nauce”.

Adrian: A były czerwone paski?



Biblioteka Kórnicka

Polskiej Akademii Nauk

L. dz.: A-461-50/2007

Kórnik, dnia 11 lipca 2007 r.

Szanowna Pani
Janina Baumann
ul. Podgórna 4
62-032 Luboń

Szanowna Pani,

Serdecznie dziękujemy za książki, które Pani nam podarowała. *Dzieje duszy czyli żywot siostry Teresy od Dzieciątka Jezus i od Najświętszego Oblicza karmelitanki hosej (1873-1897) przez nią samą skreślony. Listy, poczyte, Poznań 1902* oraz Skubiszewskiego Piotra *Rzeźba nagrobna Wita Stwosza, Warszawa 1957* pięknie uzupełnią nasz księgozbiór.

Jesteśmy także wdzięczni za wzbogacenie naszego zbioru fotografii i grafiki poprzez przekazanie nam zdjęć obrazujących zamek kórnicki i Pana Józefa Baumanna w drogerii Pana Białasa w Kórniku, a także ryciny oficyny zamkowej.

Cieszy nas bardzo Pani pamięć o Bibliotece Kórnickiej.

Z wyrazami szacunku

Dyrektor
Biblioteki Kórnickiej PAN

Prof. dr hab. Tomasz Jasiński

Pismo, jakie otrzymała Pani Janina Baumann, w podziękowaniu za przekazanie pamiątek Bibliotece Kórnickiej. Odbyło to się podczas naszej projektowej wycieczki do Kórnika. Cieszymy się bardzo, że mogliśmy w tym wydarzeniu uczestniczyć.

Pani Janina: Nie, czerwonych pasków nie było. Jeśli ktoś się uczył dobrze, rodzice otrzymywali list pochwalny a uczeń nagrodę - najczęściej książkę.

Marta: A miały panie jakieś klasowe przyjaciółki?

Pani Aleksandra: Obowiązkowo! Takie znajomości trwają do dzisiaj!

Pani Janina: Tak, ale musicie wiedzieć, że ławki były cztero lub sześćcioosobowe. W jednej ławce siedziało więcej dzieci niż dwoje, więc i grupy przyjaciół były większe.

Pan Ludwik: Jak przed wojną chodziłem do szkoły, to pracowało w niej tylko czterech nauczycieli. Mnie nauczycielka uczyła od pierwszej klasy do piątej. Uczyła wszystkiego: polskiego, rachunków, biologii. Dopiero od klasy szóstej uczył kierownik szkoły. W jednej sali siedziały dwie klasy. Po jednej stronie siedziała klasa szósta, po drugiej klasa siódma. Jak jedna klasa miała głośne zadania, to druga miała ciche.

A od klasy szóstej śpiewu uczył kierownik i prowadził bardzo fajnie szkolny chór.

Kacper: Jak wyglądało wyposażenie ucznia?

Magda: Czy część przyborów do nauki zostawała w szkole?

Pani Janina: W ławce był otwór i tam była wstawiana buteleczka z atramentem. Dyżurni musieli zadbać, by we wszystkich kałamarzach była odpowiednia ilość atramentu. Co było najgorsze: jak ktoś był psotliwy, to tam w ten kałamarz włożył kawałek bibułki i jak się pisało, to ta bibułka napila się atramentu i jak się nabrało - kleks w zeszycie! Często były kleksy w zeszycie.

Adrian: A książki były w szkole czy uczniowie musieli sami kupować ?

Pani Janina: Książki każdy miał swoje i one wystarczały na parę lat. Ja mam jeszcze elementarz z języka polskiego, który przechodził z pokolenia na pokolenie. Do każdego przedmiotu jedna książka i zeszyt. A oprócz tego długopis, pióro czy ołówek, kredki, i gumki. Linijki, ekierka, kątomierz.

Ania: A czy kiedyś uczniowie też pisali sprawdziany?

Pani Janina: Tak były sprawdziany i wypracowania. Kiedyś nauczyciele też mieli duże wymagania. Uczono o bohaterach, poetach, pisarzach i królach.

Pani Kazimiera: Jak zrobiło się błąd ortograficzny to trzeba było dwadzieścia razy taki wyraz napisać.

Kacper: Jakie rzeczy nosili uczniowie? Mundurki czy kamizelki?

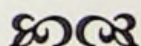
Pani Janina: Chłopcy i dziewczynki nosili granatowe fartuszki z kołnierzykiem.

Pan Stanisław Leśny: Uczniowie szkół wyższych i technikum na rękawach nosili tarcze.

Pani Janina: Do gimnazjum nosiło się przedwojenne mundurki.

Adrian: A te tarcze po szkole też trzeba było nosić?

Pani Janina: Tak, oczywiście. Ten, kto chodził do gimnazjum i nosił taką tarczę chodził z podniesioną głową. Teraz jak spotykam dzieci na ulicy to nie wiem, czy one chodzą do szkoły podstawowej, czy do gimnazjum, a może do liceum. Dzieci nie noszą po lekcjach tarczy, ani mundurków i trudno ocenić ich wiek. Ja szkołę bardzo dobrze wspominam i pewnie też dlatego zostałam nauczycielką. Chciałam innym przekazać to, czego w szkole sama się nauczyłam.



Po tych słowach wśród seniorów rozległy się sztubackie chichoty, bo wielu uczestników projektu to byli uczniowie Pani Janiny.

Podczas wielu spotkań Camelotu Pani Janina przypominała sobie szkolne historie, dotyczące naszych uczestników projektu.

Często nasi seniorzy nie pamiętali tych wydarzeń i dopiero pod wpływem opowieści Pani Janiny Baumann, przypominali je sobie. Wielu radości dostarczały wspomnieniach, w których seniorzy opowiadali, kto zrobił jakiego psikusa, komu na zeszyt wylał się atrament i musiał go przepisywać i inne drobne zdarzenia, o których jednak pamięta się przez całe życie.

Młodzież przekonała się, że można mieć równie duży szacunek dla nauczyciela a może jeszcze większy, niż w czasie uczęszczania do szkoły.

Mamy nadzieję, że młodzi uczestnicy przychylniej spojrzą teraz i na szkołę, i na swoich nauczycieli.



*Zdjęcia grona pedagogicznego z archiwum lubońskiej nauczycielki
Pani Janiny Baumann.*

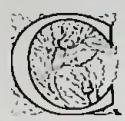


*Zdjęcie klasy ze zbiorów lubońskiej nauczycielki Pani Janiny
Baumann.*

Praca.

Zakłady przemysłowe



czy Luboń ziemniakami słynie? O to, czy nazwa Luboń kojarzy się ze skrobą trzeba by zapytać przeciętnego Polaka. Bliskie sąsiedztwo Poznania, kulinarnie kojarzonego ze smaczną „pyrą”, a także położenie w Wielkopolsce może niektórym przynosić takie konotacje. Prawdą jest natomiast, że podobnie jak dla mieszkańca Łodzi, Zakłady Włókiennicze, tak dla przeciętnego Lubonianina górujące nad miastem kominy Zakładów Ziemniaczanych, to nie tylko fabryka, ale odrębna i czasami osobista historia z nimi związana.

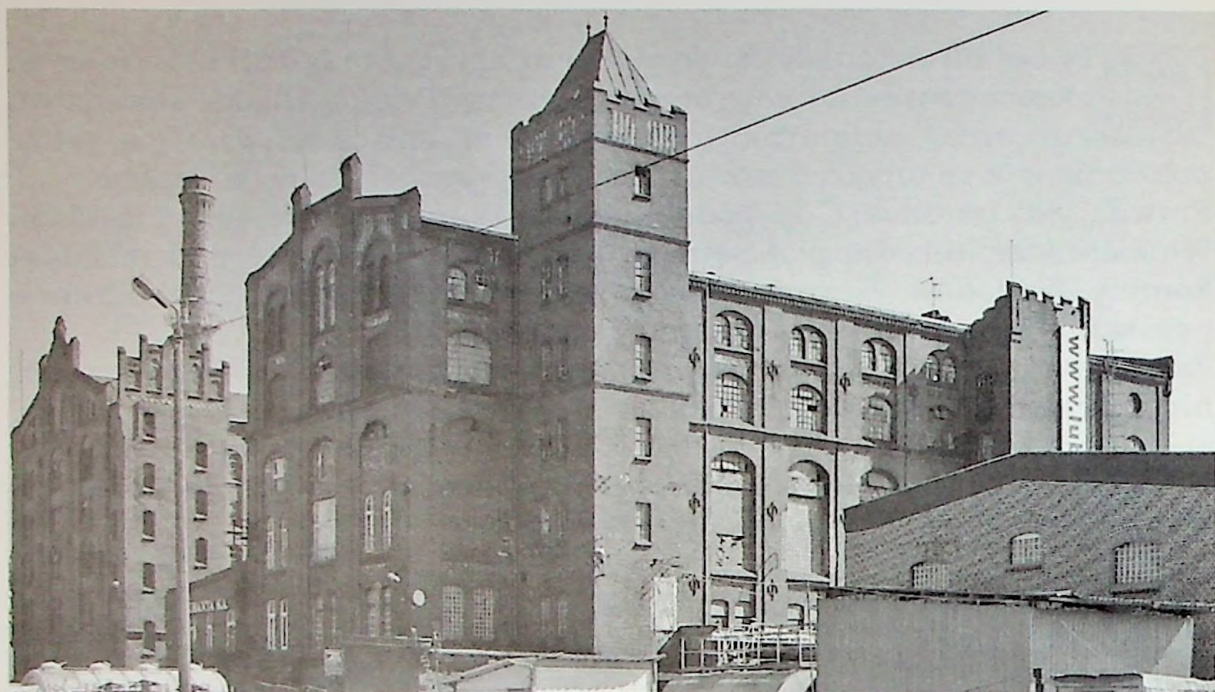
Zakłady te, to często miejsce pracy całych rodzin, a często teren niedozwolonych zabaw lubońskich dzieci. Dziś te dorosłe już dzieci, opowiedzą nam o tym wycinku swojego życia związanego z miastem. A więc porozmawiajmy o Zakładach Ziemniaczanych. Poniżej zarys ich historii, resztę opowiedzą „naoczni świadkowie”.

Historia Zakładów Ziemniaczanych

Duża część terenów dzisiejszej Wielkopolski po 1870r. stała się głównym dostawcą żywności dla uprzemysłowionych Niemiec. Taki układ stosunków polityczno-gospodarczych przyczynił się do wybudowania w latach 1902-1904 w Luboniu Fabryki Drożdży G. Singera oraz Fabryki Przetworów Ziemniaczanych A.C. Koehlmanna. Za sprawą Komisji Kolonizacyjnej spółki niemieckich firm wykupiły od polskich rolników tereny, na których powstały te dwa zakłady.

Oba zakłady mimo, że na pierwszy rzut oka podobne do siebie, choćby dlatego, że zbudowano je z charakterystycznej „czerwonej cegły” przy uważniejszym spojrzeniu można dopatrzeć się w nich różnic kompozycyjnych wskazujących na pracę niezależnych architektów. Fabrykę Przetworów Ziemniaczanych usytuowano równolegle do ulicy i linii kolejowej zdobiąc jej fasadę elementami charakterystycznymi dla secesji. Inaczej, bo prostopadle do drogi, umiejscowiona została Fabryka Drożdży, jej zdobnictwo jest natomiast typowe dla okresu klasycystycznego.

Zakłady ziemniaczane składające się początkowo z trzech działów: krochmalni, suszarni mączki oraz wycierki powiększyły się w 1907 o dekstryjniarnię, a następnie aż do wybuchu I wojny światowej były stopniowo rozbudowywane. Równolegle rozwijała się Fabryka Drożdży. Po I wojnie zakłady przejął Bank Przemysłowców i utworzono towarzystwo akcyjne „Luboń Fabryka Przetworów Ziemniaczanych”. Nastąpiła bardzo dynamiczna rozbudowa przedsiębiorstwa sprawiając, że fabryka stała się najnowocześniejszym zakładem tego typu w Europie. Jego przerób wraz z filiami dochodził do tysiąca ton ziemniaków na dobę.



W chwili obecnej na terenie dawnych Zakładów Ziemniaczanych trwa budowa osiedla mieszkaniowego. Na zdjęciu pozostałe zabudowania fabryczne przy ul. Armii Poznań.



Wzrok przyciągają nie tylko masywne hale fabryczne lecz również ciekawe detale architektoniczne na budynkach zarządu fabryki i osiedla dla pracowników.

Wybuch II wojny, przejęcie zakładu przez okupanta oraz akty sabotażu i konspiracyjna działalność załogi osłabiły funkcjonowanie przedsiębiorstwa.

Lubońską Fabrykę Drożdzy po wojnie kupiła spółka akcyjna, ograniczając produkcję drożdzy, a wzmacniając krochmalu i kleju szewskiego.

Po 1945r. uporawszy się z niewielkimi zniszczeniami wznowiono działalność, a w 1949 r. połączono obie fabryki w Lubońskie Zakłady Przemysłu Spożywczego. Lata 1956-1964 to czas wzrostu produkcji i kolejnej rozbudowy fabryki. Powstało wówczas zaplecze surowcowe, zmodernizowano poszczególne oddziały i wprowadzono nowe technologie. Wytwarzano m.in.: mączkę ziemniaczaną, syrop, kleje, dekstryny, sól, drożdże i krochmal pszenny.

Rok 1970 przyniósł połączenie wszystkich wielkopolskich zakładów ziemniaczanych w Wielkopolskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Ziemniaczanego z siedzibą w Luboniu, największy tego typu zespół zakładów w kraju.

Rok 1972 to czarna karta w historii zakładów. Na oddziale produkcji dekstryn doszło do niedopatrzeń, co spowodowało wybuch, w efekcie którego śmierć poniosło osiemnastu pracowników.

Procesy polityczno-gospodarcze lat dziewięćdziesiątych przyniosły wiele zmian. Zamknięto drożdżownię oraz inne zakłady. Od 1992 r. przedsiębiorstwo zostało Spółką Akcyjną, a produkcja ziemniaczana w Luboniu skończyła się w 2004r. Wszystkie linie produkcyjne przeniesione zostały do dawnej filii w Stawie. Siedziba firmy oraz jej zarząd znajduje się w Luboniu.

Opracowano na podstawie:

Wademekum Lubońskie, cz. 4, dodatek do Wieści Lubońskich, nr 5/2004, s. 15-16, Wyd. Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe Forum Lubońskie, Luboń 2004.
www.wikipedia.pl, data korzystania ze strony: 27.10.2007.



- Kiedy w Luboniu utworzone zostały zakłady ziemniaczane? - zapytał Dominik Jacynowski

Pan Bogdan Leonarczyk: Fosfory i Ziemniaki powstawały razem. To było przed I wojną światową. W 1910 roku było tu tylko parę domów, wszystko zostało zbudowane wraz z przemysłowym rozwojem miasta.

WOBEC LUBOŃSKIEJ TRAGEDII

Cztery dni temu społeczeństwem Wielkopolski wstrząsnęła wiadomość o tragicznej katastrofie, jaka wydarzyła się w Wielkopolskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Ziemniaczanego w Luboniu. W nocy z 22 na 23 lutego br. wskutek potężnego wybuchu, z nieustalonych jeszcze dokładnie przyczyn, runął budynek Oddziału Produkcji Dekstryn. Czterokondygnacyjny obiekt w ułamku sekundy zamienił się w zwałowisko gruzu, grzebiąc znajdujących się na stanowiskach pracowników trzeciej zmiany. Jednocześnie pojawili się płomień ognia, który błyskawicznie ogarnął szczątki zawalonego obiektu.

Dzięki doskonale zorganizowanej łączności i błyskawicznej pomocy, już w parę minut po detonacji na miejsce katastrofy przybyły karetki pogotowia, sekcje straży pożarnej i robotnicy sąsiednich zakładów. Natychmiast pospieszyło do Lubonia wojsko, Milicja Obywatelska, dalsze sekcje straży pożarnej. Pojawili się też przedstawiciele władz partyjnych, terenowych i administracji przemysłowej. Sciągnięto ekipy budowlane wyposażone w sprzęt mechaniczny.

Wszelkiernej i natychmiastowej akcji ratowniczej, ofiarności jej uczestników zawdzięczamy uratowanie 13 osób. Jednak mimo wszelkich wysiłków i niezwyklej ofiarności, mimo zastosowania wszystkich możliwych środków technicznych i zaangażowania ekip specjalistycznych nie udało się uratować wszystkich od śmierci.

Są to straty nad wyraz bolesne, które pograżyły w głębokiej żalobie nie tylko rodziny tragicznie zmarłych, ale także społeczeństwo Lubonia, Poznania, województwa poznańskiego i kraju.

Wyrazem współczucia i społecznej wrażliwości na ludzkie nieszczęścia była niezwykle ofiarna akcja ratunkowa. Z narażeniem zdrowia i życia bez wytchnienia, w dzień i w nocy toczyła się uporczywa i pełna poświęcenia walka ze skutkami tragicznej katastrofy.

Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, wysoko oceniając przebieg akcji ratunkowej wyrażają gorące i serdeczne podziękowanie tym wszystkim, którzy nie szczędzili sił dla szybkiego likwidowania skutków katastrofy w Luboniu, którzy wykazali ofiarność, odwagę i męstwo, solidarność społeczną i czynną postawę wobec tego tragicznego wydarzenia.

Wyrażamy jednocześnie głębokie ubolewanie i najserdeczniejsze współczucie matkom i ojcom, żonom i mężom oraz dzieciom tragicznie zmarłych i ich dalszym rodzinom, wszystkim bliskim i znajomym, towarzyszom pracy — całej załodze Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego i mieszkańcom Lubonia.

Niech Ci, którzy tragicznie zginęli na posterunkach pracy, pozostaną na zawsze w naszej pamięci, której wyrzeczem będzie troskliwa opieka i pomoc tym, których osamotnili.

PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ
RADY NARODOWEJ
W POZNANIU

WOJEWÓDZKA KOMISJA
ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
W POZNANIU

KOMITET WOJEWÓDZKI
POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ
PARTII ROBOTNICZEJ
W POZNANIU

Poznań, 26 lutego 1972 r.

Informacja prasowa o wybuchu dekstryny w Wielkopolskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Ziemniaczanego.

- A w jaki sposób doszło do zapalenia się dekstryny? - ten smutny temat podjęła Beata Jacynowska

Pan Bogdan: Z powodu zaniedbań.

Pani Irena Skrzypczak dodała: Ktoś nie zrobił czegoś tak jak należy. Mój mąż mówił, że wszystkie urządzenia do produkcji dekstryny powinny być czyszczone. Tymczasem w zakładach to było robione, jak to się mówi „po łebkach”. Nagromadzona dekstryna spowodowała wybuch, trudno było dociec, w którym miejscu to nastąpiło.

Był to bardzo smutny dzień w Luboniu, wszyscy byli wstrząśnięci tragedią, której można było przecież uniknąć. Niepotrzebnie zginęło aż osiemnaście osób.

Dominik: A jaką rolę pełniła dekstryna w gospodarce? Bo wiem, że była biała i żółta.

Pani Irena, która wcześniej specjalnie przygotowała się do rozmowy odpowiedziała: Dekstryna była produkowana do celów wojskowych i dla przemysłu odzieżowego w Łodzi. Żółta do wojska, biała dla przemysłu włókienniczego.

- Co oznaczał skrót WPPZ? - pytał dalej Dominik

Pani Irena: Wielkopolskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Ziemniaczanego.

- Kolejne pytanie przygotowała Beata: Czy zakłady ziemniaczane funkcjonowały w czasie okupacji niemieckiej?

Pani Aleksandra Koperska: Oczywiście, że funkcjonowały. Moja mama tam pracowała.

Dominik: W jaki sposób dekstryna była transportowana?

Pani Irena: Wysyłane były w papierowych workach pięćdziesięciokilogramowych do zakładów odzieżowych i dla wojska, a w zakładach wyrabiano z dekstryny klej. Podstawowy produkt zakładów ziemniaczanych to były krochmal, gluten, glukoza, syrop, spirytus i pulpa.

Pani Aleksandra dodała: Jako dzieciaki chodziliśmy i zbieraliśmy pulpę, po wysuszeniu służyła jako opał, była to dość niebezpieczna zabawa, ale bardzo lubiliśmy się tak bawić. Rodzice nam na to nie pozwalali i tylko najodważniejsi zbierali pulpę do zabawy wspomina z uśmiechem Pani Aleksandra.

Zakłady Ziemniaczane, to nie tylko architektura, „czerwona cegła” i wielki teren, na którym przetwarzano tony ziemniaków. Dla mieszkańców Lubonia to coś więcej. Miejsce tragedii w której być może stracili kogoś bliskiego. Miejsce, gdzie trzeba było pracować dla okupanta, ale też plac niedozwolonej dziecięcej zabawy, beztroski element młodości.



Czasami nasze spotkania mogłyby się nie kończyć. Zawsze mieliśmy mnóstwo tematów do rozmowy i ciągle pojawiały się nowe wątki. Dzięki udziałowi w projekcie, Pani Aleksandra Koperska, która w 1965 roku wyprowadziła się z Lubonia, ponownie nawiązała kontakt z byłymi sąsiadami i kolegami z ławy szkolnej.



**Wyróżnione
prace konkursowe**

Luboń oczami mojej babci, mojego dziadka

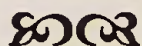
Joanna Wojtkowska

*Luboń dawno był stworzony,
Dawne czasy pewnie pamięta,
Ciotki, wujkowie, mężowie, żony,
Wybudować go chciały nawet dziewczęta.*

*Moja babcia pamięta Luboń w rozkwicie,
Dziadek wspomina mile dawne dzieje.
Piękny wschód słońca o świcie
I zachód, gdy słońce chowało się w knieje.*

*Spokojne miasto to było,
Bez kurzu, brudu, hałasu.
Przyjemnie się spacerowało
Lub chodziło do lasu.*

*Dziś Luboń to nie to samo.
Babcia mówi: „żal, że minęło!”,
Mama do babci: „Luboń się unowocześnił, mamo!”
I małe miasteczko dalej w górę się pięło.*



Pewnego wiosennego dnia wybrałyśmy się z babcią na spacer. Pogoda była piękna, więc postanowiłyśmy, że pójdziemy na cmentarz odwiedzić grób dziadka.

Minęłyśmy kilka ulic i doszłyśmy do boiska Stelli. Wówczas babcia powiedziała, że w dzieciństwie często tu przychodziła ze swoim bratem bawić się w różne gry. Doszłyśmy do Placu Edmunda Bojanowskiego. Przechodząc koło zakładu fryzjerskiego babcia zatrzymała się i powiedziała: „tu był mój dom. Urodziłam się w nim i wychowałam. Wszystko się bardzo zmieniło od tego czasu”. Była troszkę zmęczona, więc usiadłyśmy na ławce. Zamyśliła się. Nie przeszkadzałam jej, gdyż zrozumiałam, że wspomina.

Poszłyśmy dalej. Babcia pierwsza się odezwała:

- Wiesz Nel właśnie uświadomiłam sobie jak szybko mija czas. Tak niedawno Luboń był spokojną wsią. Dookoła rozciągały się pola. Oprócz kościoła był tu tylko sklep mięsny, spożywczy, żelaźniak, apteka, poczta i szkoła. W sąsiednich domach mieszkali gospodarze, którzy hodowali zwierzęta i uprawiali rolę. Często z koleżankami bawiłyśmy się w chowanego. Z kukurydzianych kolb robiłyśmy lalki, wymyślając im różne fryzury. Do dziś pamiętam smak wiejskiej śmietany, tak gęstej, że było ją można kroić nożem. Tu gdzie widzisz sklep spożywczy był nasz ogród. Jesienią dojrzewały w nim słodkie śliwki i winogrona. Gałęzie drzew sięgały tak blisko domu, że owoce było można zrywać z okna sypialni. Latem chodziłam z bratem kąpać się na „trzy murki”. Był to mały staw częściowo zarośnięty, pośrodku którego były trzy niskie murki, z których skakaliśmy do wody. Była to zabroniona zabawa. Wystarczającą karą było ściąganie z nas pijawek i wysłuchiwanie pouczeń mamy. Obecnie w tym miejscu jest wybudowane osiedle „Lubonianka”. W budynku, gdzie jest Urząd Miasta mieściło się Pogotowie Ratunkowe. Było to wygodne, ponieważ gdy któreś z nas spadło z drzewa, pomoc była blisko.

Przechodziłyśmy właśnie ulicą Zieloną, kiedy babcia zaczęła się nagle śmiać. Dowiedziałam się, że w miejscu, gdzie dzisiaj straszą mury po dawno nieczynnej przetwórni warzywnej „Dymecki”, mieszkał pewien starszy pan. Miał on pięknie utrzymany ogród, dookoła rosły „smrodziny”. Wyjaśniła mi, że to bardzo słodkie owoce, podobne z wyglądu do czarnych porzeczek. Czasami skradały się z koleżankami i je podjadały. Właściciel straszył, że spuści psa, aby wystraszyć dzieci. Śmiał się dobrodusznie i nigdy tego nie zrobił.

Gdy doszliśmy na miejsce, zmieniłyśmy kwiaty w wazonie i zapaliłyśmy znicz. W drodze powrotnej babcia powiedziała, że wiele się od tego czasu zmieniło w Luboniu. Teraz to duże miasto tętniące życiem, rozwinięte przemysłowo i gospodarczo. Nie ma tu już wielu gospodarzy, a pola uprawne zmieniły się w większe lub mniejsze osiedla mieszkaniowe.

Resztę drogi przeszliśmy w milczeniu. Myślę, że babcia kontynuowała wspomnienia.



Weronika Czajka

 powiem wam największą przygodę mojego życia. Było to w 2004 roku. Tamtego lata przydarzyło mi się coś niezwykłego. Przeglądałam skrzynię z rzeczami mojej babci, która zmarła rok wcześniej. Było tam kilka jej zdjęć z czasów szkolnych, szale, rękawiczki i mnóstwo innych staroci.

Nie znajdowało tam się nic interesującego oprócz małego złotego łańcuszka, którego o mało co nie zauważyłam.

Wyglądał tak jak by ktoś celowo go schował. Założyłam łańcuszek, ponieważ bardzo mi się podobał. I nagle poczułam się bardzo dziwnie, zakręciło mi się w głowie i chyba zemdlałam.

Nie wiadomo jakim cudem znalazłam się na ulicy. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż to, co dotąd znałam. Przypominało to wieś, ale przecież nie mogłam wyjechać z miasta i tego nie zauważyć. Nagle spostrzegłam dziewczynkę, która miała jakieś dziesięć lat i przyglądała mi się od paru minut. Wyglądała dziwnie znajomo, podeszłam do niej chcąc się dowiedzieć gdzie jestem.

- Przepraszam, gdzie ja jestem?
- Jak to gdzie, w Luboniu odpowiedziała mi nieznajoma.
- To niemożliwe! Ja mieszkam w Luboniu. To nie jest mój dom, Luboń to duże miasto, a nie jakaś wieś! Poznałabym go!
- To jest Luboń. A właściwie kim jesteś, bo wyglądasz trochę dziwnie...

Dziwnie? O co chodzi tej dziewczynie? I nagle zobaczyłam... Była ubrana zupełnie inaczej niż ja, jak z innej epoki!

- Przepraszam, że się nie przedstawiłam. Jestem Weronika. Wiem, że

to dziwne pytanie, ale który właściwie mamy rok?

- Jak to który? 1912! Jestem Basia Bobrowska i mieszkam niedaleko.

Basia? Basia Bobrowska?! To niemożliwe, to nie może być moja babcia! A jednak... Wyglądała zupełnie jak ona na zdjęciach ze szkoły. Widzę swoją babcię w wieku dziesięciu lat. Jak to możliwe?

- Słuchaj Weronika, może oprowadzę Cię po Luboniu? Jeśli chcesz, oczywiście.

- Z przyjemnością.

I poszliśmy na spacer po Luboniu. Byliśmy w 1912 roku. Wszystko wyglądało inaczej - nie było sklepów, marketów, ani bloków, wszędzie tylko pola i kilka fabryk. Babcia Basie oprowadzała mnie po Luboniu. Opowiadała mi o Niemcach z Bambergu i o tym, że wielu ich teraz tu mieszka, o Augustie Cieszkowskim i o jego Wyższej Szkole Rolniczej. Mówiła o tym, jak niedawno wybudowano krochmalnię, drożdżownię i wytwórnię nawozów fosforowych, i że są teraz bardzo nowoczesne. Potem ja opowiadałam jej o Luboniu z moich czasów. Nie wierzyła mi i śmiała się. Mówiła, że mam bujną wyobraźnię i w końcu musiałam przestać upierać się przy swoim. Dla mojej 10-letniej babci musiało to brzmieć jak powieść fantastyczna zamiast pól bloki, zamiast polnej drogi autostrada oraz żadnych Niemców spacerujących ulicami Lubonia.

- Wiesz, mam taki sam łańcuszek jak ty. To mój ulubiony powiedziała wskazując na mój, a właściwie swój, złoty łańcuszek.

- Ja też bardzo go lubię. Znalazłam go w twoich... to znaczy w rzeczach mojej babci.

- Weronika jak długo zostaniesz w Luboniu?

- Właściwie to powinnam już wracać, tylko nie wiem jak. Można powiedzieć, że się zgubiłam.

- Powiedz, gdzie mieszkasz, to pomogę znaleźć ci dom.

- Basia, to nie takie proste...

W tym momencie zawiał silny wiatr i zerwał mi łańcuszek z szyi. Ocknęłam się na podłodze. A więc wróciłam! Aby się upewnić spojrzałam na kalendarz sierpień 2004 rok. Byłam z powrotem w domu. Następnie znowu zajrzałam do skrzyni babci, jednak tym razem wszystko wydało mi się dużo ciekawsze.

Dziś jest rok 2007, ale od czasu mojej podróży do 1912 roku, staram się poznać historię każdego miejsca, które odwiedzam. Jeśli nie uwierzycie

w tą historię to trudno, ja i tak wiem, że jest prawdziwa i była to największa przygoda mojego życia



Paulina Mieloszyk

Paulina: Cześć dziadku.

Dziadek: Witaj wnuczko.

Paulina: Dziadku mógłbyś mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

Dziadek: By opowiedzieć Ci wszystko z dokładnymi szczegółami, potrzebowalibyśmy sporo czasu... ale dobrze, opowiem Ci wszystko to, co pamiętam.

Paulina: No to możesz dziadku od samego początku?

Dziadek: Jak dobrze wiesz urodziłem się w 1933 roku. Mój tata, a twój pradziadek pracował wówczas na kolei... to on utrzymywał całą rodzinę, a prababcia zajmowała się domem i dziećmi.

Gdy miałem sześć lat koło południa na ulicach panował chaos... nie wiedzieliśmy co się dzieje. Niemieccy żołnierze siłą wciągali niewinnych ludzi do obozu karno-śledczego w Żabikowie. Wchodzili do wszystkich mieszkań. Pamiętam, jak mama kazał nam się chować, gdy pukali do naszego mieszkania!

Paulina: A gdzie był twój tata dziadku? Nie baliście się?

Dziadek: Pewnie, że się baliśmy... nie mogłem chodzić do szkoły. Ulice opanowali gestapowcy. U nas prowadzone były potajemne spotkania a mój ojciec zaciągnął się w szeregi Wojska Polskiego.

Paulina: Bardzo ciekawe... co działo się dalej?

Dziadek: Musieliśmy radzić sobie sami z mamą. Ona też zaczęła wychodzić z domu z jedzeniem i wracała wieczorami. Nie wiedzieliśmy dokąd szła, nie chciała nam tego nawet powiedzieć!!! Po pewnym czasie przyszedł do nas list od ojca... wiedzieliśmy, że żyje, więc przestaliśmy się tak już niepokoić.

Paulina: Opowiadaj dalej dziadku!

Dziadek: Na początku roku 1944 mój tato jak to napisał w liście miał do nas przyjechać, tak też się stało. Lecz nie zdążył dojść do domu...

Paulina: Dlaczego?

Dziadek: Przybiegła do nas sąsiadka i krzyczała, że naszego tatę ciągną do obozu... wyszliśmy na dwór... a tam widzieliśmy tatę szarpanego przez gestapowców do „obozu zemsty” tak oni to nazywali. Chciałem do niego podbiec, lecz mama mnie zatrzymała. Słyszeliśmy tylko w oddali jego głos krzyczący „Kocham Was”... popłakaliśmy się, gdyż myśleliśmy, że tracimy go już na zawsze!

Paulina: Co się później stało? Wrócił do domu?

Dziadek: Wrócił po roku 1945 cały, ale nie do końca zdrów.

Paulina: A co mu było dziadku?

Dziadek: Był on przerażony całą sytuacją, która go tam spotkała... z jego opowiadań na jego oczach zabijali kobiety jak i mężczyzn... spalono też najlepszego przyjaciela Twojego dziadka!

Paulina: Jak dziadku ty pamiętasz Luboń?

Dziadek: Podczas wojny panował tu straszny chaos, Życie było trudne, lecz po wojnie wszystko się uspokoiło. Luboń stał się spokojnym miasteczkiem! Teraz widzisz, obóz karno-śledczy odwiedzały wycieczki. Jak widziałaś zapewne, znajdowało się tam 8 baraków dla więźniów oraz 10 budynków administracyjnych. W środku znajdował się basen, używany przez Niemców jako miejsce kaźni.

Do dzisiaj nie ustalono ile ludzi tam zginęło, a na miejscu obozu znajduje się pomnik i muzeum martyrologiczne.

Paulina: Wiem, wiem, dziadku, bo ostatnio byłam zapalić tam znicz.

Dziadek: No widzisz... ja przebywam tam bardzo często, przypominają mi się dawne czasy... Luboń jest miejscem wspomnień...

Kościół św. Barbary jest już od 100 lat, a nadal wygląda okazale. Pomnik „Siewcy” też jest bardzo interesujący!

Z roku na rok Luboń staje się coraz większym miastem... niż to było w czasach II Wojny Światowej... teraz jeszcze przez to miasto, o którym

cały czas mowa przebiega autostrada.

Paulina: No tak dziadku masz rację... wszystko teraz staje się bardziej nowoczesne. Dziękuję Ci za tę rozmowę! Dowiedziałam się wielu interesujących rzeczy o mieście, w którym mieszkam.

Dziadek: Proszę bardzo wnuczko... gdybyś chciała jeszcze o coś zapytać, zawsze będę służył pomocą.

Paulina: Dziękuję Ci jeszcze raz! Do widzenia dziadku.

Dziadek: Do zobaczenia!



Marta Pietruczuk

Tego popołudnia z kuchni dobiegał przepiękny zapach pieczonego ciasta. Oznaczało to tylko jedno moja babcia postanowiła nas dziś odwiedzić i krząta się po kuchni. Prowadzona wonią wypieku ruszyłam w stronę kuchni, a kiedy tylko przekroczyłam jej próg przywitał mnie znajomy głos:

- Witaj kochanie, jak minął dzień? Zapytała babcia nie przerywając doglądania ciasta w piekarniku. Co dzisiaj było w szkole?
- Cześć babciu powitałam ją. Dzisiaj ogólnie to nic się nie działo. Za to mam furę zadań domowych.

Kiedy wyjmowałam z torby dzienniczek, do którego rano włożyłam listy wyjęte ze skrzynki, na podłogę w kuchni wypadła mi kartka. Zanim zdążyłam ją podnieść zrobiła to babcia.

- Co to? Ulotka o konkursie na temat Lubania widzianego oczami dziadków?
- Tak dała nam to pani w szkole, ale nie wiem czy wezmę w tym udział. Może i wezmę udział. Muszę wtedy podpytać trochę dziadka o jego wspomnienia.
- A ja to już nie mogę się przydać? Przecież ja też tu mieszkam? Co? Chcesz może powiedzieć, że stara babcia się nie zna na historii własnego miasta?
- Nie oto chodzi, że się nie znasz. Właściwie to, jeśli chcesz, to mogłabyś mi opowiedzieć trochę o tym, co pamiętasz. Najpierw odrobie lekcje, a kiedy skończę akurat upiecze się ciasto i będziemy

- mogły porozmawiać podjadając sobie małe co nieco. Co ty na to?
- Zgoda. Ty odrób pracę domową, a ja w tym czasie odświeżę swoją pamięć.

Zostawiłam babcię w kuchni i pomaszerowałam do swojego pokoju. Po pół godzinie zadania były odrobione, a ciasto ostygło i było gotowe do zjedzenia. Usadowiłam się wygodnie przy stole i już sięgałam po kawałek ciasto, gdy napotkałam zdziwiony i naganny wzrok babci.

- Co się stało? Patrzysz na mnie takim wzrokiem, że aż się przestraszyłam.
- Jak to? Miałas ze mną przeprowadzić wywiad, który pomógłby ci napisać pracę konkursową, a ty nie masz ani nic do pisania, ani żadnego urzędnika nagrywającego... To ma być poważne podejszcie do konkursu, zajądanie się domowymi wypiekami?

Zrobiło mi się strasznie głupio. Babcia miała rację. Ona chciała mi pomóc w przygotowaniu pracy, a ja myślałam tylko o cieście. Zerwałam się z krzesła i wróciłam po chwili z zeszytem formatu A4 i długopisem. Na stole położyłam moje Mp3 z funkcją dyktafonu i zabrałam się za przepytywanie babci.

- Skoro już jesteśmy gotowe i mamy wszystkie pomoce, myślę, że możemy zaczynać. Powiedziałam i zaczęłam zadawać pytania. Babci jednak nie trzeba było wypytywać. Zaczęła opowiadać z taką pasją, jakby po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, ktoś chciał posłuchać tego, co ma do powiedzenia.
- Kiedy, jakieś dwadzieścia sześć lat temu razem z twoim dziadkiem wprowadziliśmy się do Lubonia, wyglądał on zupełnie różnie od tego, który ty znasz z dzisiejszych dni. Pomimo iż już w roku 1954 Luboń uzyskał prawa miejskie, to jeszcze w 1981 wyglądał jak wieś. Większość ulic nie była wybrukowana. Była wyłożona kostką z kamienia, taką samą, jaką jest wyłożony Poznański Stary Rynek. Większą część krajobrazu stanowiły pola. Bloków nie było prawie wcale. Dopiero zaczynali budować pierwsze w Luboniance, ale nie były to bloki takie, jak teraz, budowane z tak zwanych „pustaków”, tylko bloki z cegły. Centrum Lubania stanowiła Lubonianka i okolice Kościoła świętej Barbary, gdzie na ryneczku przebywało wiele osób. Kiedyś był on zatłoczony, teraz każdy woli szybkie zakupy w supermarkecie i ludzie jeżdżą do „Pajo Centrum” czy pobliskiego „Auchan”. Ludzie mieszkający w Luboniu mieli bliżej miejsca pracy. Ba! Nawet z innych pobliskich miast się zjeżdżali ludzie, bo pracowali w cegielni lub zakładach ziemniaczanych. Tak,

tak, w Luboniu jest cegielnia. Nie funkcjonuje już od dwudziestu lat i chyba wszyscy o niej zapomnieli. O ile się nie mylę to mieści się ona przy ulicy Źródlanej. A zakłady ziemniaczane powinnaś kojarzyć. Zostały zamknięte bodajże trzy lata temu, więc wcale nie tak dawno temu.

Przytaknęłam w milczeniu głową nie chcąc wybudzić babci z magicznego transu, w którym się znalazła zaczynając snuć wspomnienia o dawnym Lubaniu, jaki pamiętała.

- Nie było też mniejszych zakładów ani drobnych przedsiębiorstw. Nic! Nawet nie istniała gazeta Wieści Lubońskie mówiła dalej babcia spoglądając na najnowsze wydanie omawianego przez nią miesięcznika, który leżał na stole. Wtedy jeszcze nasza gazeta nie istniała. Ale to nie było najgorsze. Nie było kanalizacji. Wyobrażasz sobie, że na całym terenie nie było kanalizacji i większość mieszkających tu ludzi miała wiercone studnie? A tak było. Tak samo jak nie było oczyszczalni ścieków. Powstała niedawno, a jednak czuć zmiany, które wprowadziła. A jak już tkwię w temacie braku cywilizacji w Luboniu, to wspomnę o tym, że nie mieliśmy gazu. Paliliśmy węglem lub miałem. Może ci się to wydawać dziwne, co mówię, ale to sama prawda. Ja nie zmyślam. Babcia wpatrywała się przez chwilę w jakiś punkt na ścianie kuchni, jakby przed oczami widziała obrazy dni, o których mówiła. Jakby wpatrywała się w sceny filmy puszczanego z rzutnika, którego obraz odbijał się na ścianie. Po chwili jednak przerwała zadumę i ponowiła opowieść. Ale cywilizacja jak widać do nas przywędrowała. Po jakimś czasie powstał cmentarz komunalny i biblioteka. Rozbudowano muzeum w miejscu, gdzie mieści się нефunkcjonujący już obóz karno-śledczym podlegającym władzy SS. Pojawiła się też straż miejska, bo wcześniej funkcjonowała tylko milicja, czyli dzisiejsza policja, i straż pożarna. No i najważniejsza autostrada. Nie można ukryć, że wielu ludziom ułatwiła życie.
- A ogródki działkowe? Zapytałam, choć wcale nie chciałam przerywać babci.
- Były już, kiedy się tu wprowadziłam i jak widać przetrwały do dziś. Myślę, że to wszystko, co mogę ci powiedzieć o Luboniu, jaki pamiętam z czasów, kiedy się tu wprowadziłam.

Kiedy babcia skończyła opowiadać zrobiło się tak dziwnie cicho. Układałam sobie w głowie wszystkie informacje i obrazy wytworzone przez wyobraźnię, którą ożywiła babcia. Dopiero teraz zauważyłam, że nic nie zapisałam w moim zeszycie, bo byłam tak przejęta opowieścią. Na całe szczęście

miałam włączony dyktafon w Mp3 i wszystko się nagrało.

Ocknęłam się po chwili, kiedy babcia nałożyła sobie kawałek dotychczas nietkniętego ciasta. Poszłam za jej przykładem i skosztowałam największą część wypieku. Powiedziałam babci jak bardzo wciągnęła mnie jej opowieść. Ucieszyła się słysząc zapal w moim głosie. Byłam jej wdzięczna za to, że nakłoniła mnie do wzięcia udziału w konkursie, a raczej w próbie zebrania do niego materiału.

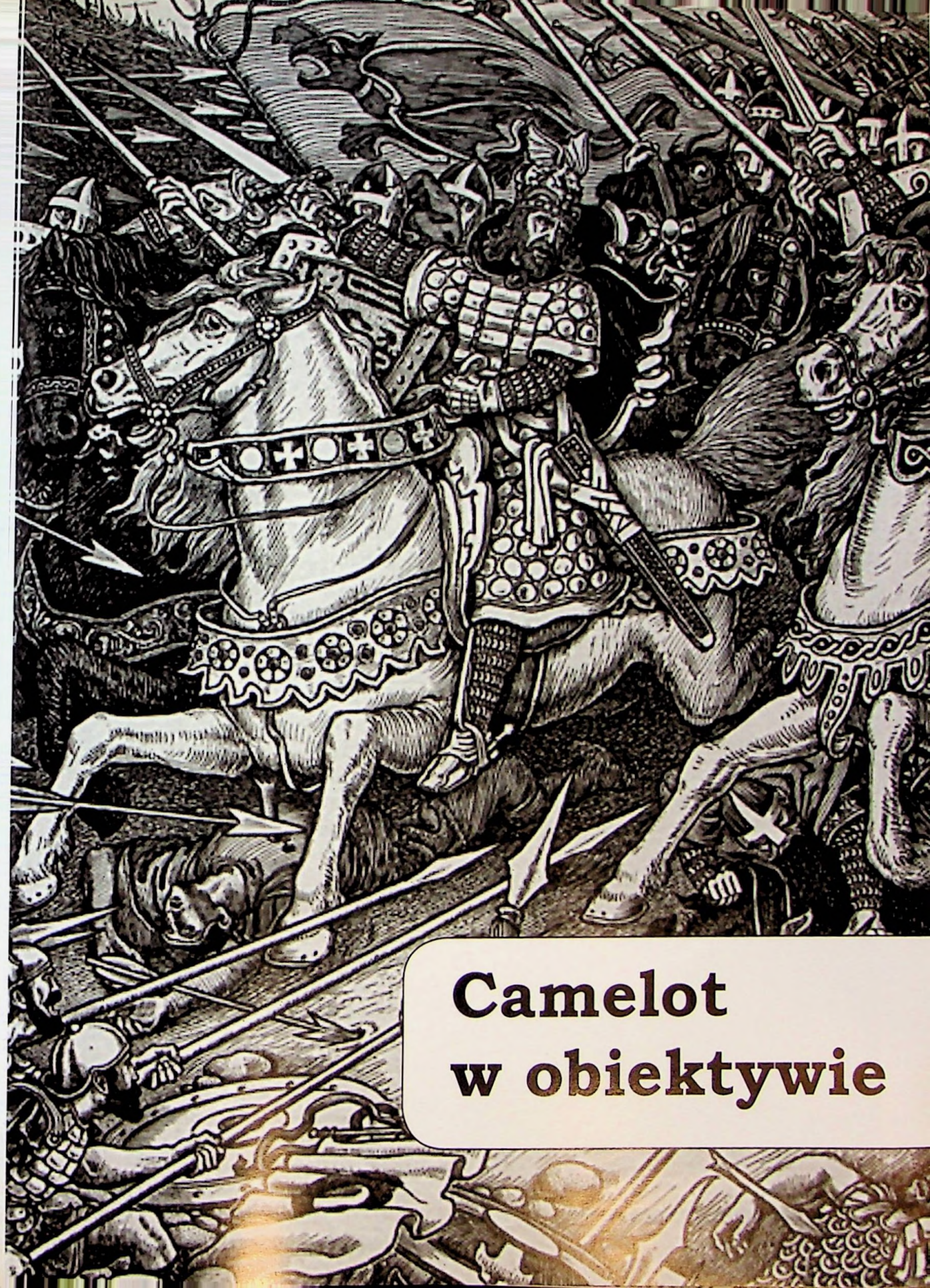
- Zastanawiam się tylko, czy nie powinnam napisać czegoś o historii Lubonia. No wiesz, że powstał z połączenia trzech wsi: Lasek, Luboń i Żabikowo. Że znajduje się w centralnej części województwa wielkopolskiego, powiecie poznańskim i nad rzeką Wartą. Od strony północnej bezpośrednio przylega do Poznania i że liczy około 26 500 mieszkańców.
- Myślę, że nie musisz tego pisać, ponieważ miało to być o Luboniu widzianym przez któregoś z twoich dziadków, ale cieszę się, że tyle wiesz o swoim mieście.
- Chyba masz rację.

Naszą rozmowę przerwał nagle szcęk otwieranego zamka w drzwiach wejściowych i z przedpokoju dobiegł do naszych uszu głos mamy:

- Jestem! Obwieściła wszystkim obecnym domownikom i poczęła zdejmować buty. Kiedy weszła do kuchni po kolei ucałowała w policzek najpierw mnie potem babcię i skupiła swoją uwagę na cieście. A wiecie, że przez cały dzień miałam ochotę na ciasto? Chyba czytasz mi w myślach, mamó.

Opowiedziałam mamie pokrótce o dniu spędzonym w szkole i o opowieści babci, po czym ulotniłam się dyskretnie do swojego pokoju. Włączyłam komputer i poczęłam przelewać na papier opowieść babci. Po kilku godzinach słuchania nagrania z Mp3 i zapisywaniu zdobytej wiedzy w pamięci komputera miałam już gotowy projekt na konkurs. Postanowiłam udać się na następny dzień do biblioteki, aby sprawdzić, czy babcia się gdzieś nie pomyliła, ale jak się później okazało była nieomylna. Gotową pracę przesłałam na konkurs. Jednak moje opowiadanie nie tworzyło tak malowniczych obrazów, jak słowa wypowiedane przez babcię. Mogłam być dumna, że byłam jej jedyną słuchaczką i wszystko co mówiła, co obudziło moją wyobraźnię, należało tylko do mnie.





Camelot w obiektywie



*Nasi najaktywniejsi
uczestnicy projektu;
byli z nami od samego
początku.*

*Od lewej: Bogdan
Lenarczyk i Benon
Matecki.*

*Dwa pokolenia
przy stole, seniorzy
i młodzież przy
spisywaniu
wspomnień.*



*Pamiątkowe zdjęcie
uczestników wycieczki
do Kórnika.*



Rozgardiasz na chwilę przed zbiórką...



Wycieczka do Lednicy i Gniezna. Na zdjęciu trzy pokolenia: seniorzy, w środku Karolina Dorożala, z prawej Ania Menes, gimnazjalistka, uczestniczka projektu Camelot.

*Adrian Liske
był naszym
najwytrwalszym
i najbardziej
wszechstronnym
wolontariuszem.*



*Wycieczka do
Wielkopolskiego Parku
Etnograficznego.*

*Na zdjęciu: Irena
Skrzypczak rozmawia
z młodzieżą (od lewej):
Kacper, Dominik i Beata.*



*Benon Matecki, barwna postać,
uczestnik projektu z zapałem
kolekcjonuje dowcipy, pisze
skecze, pielęgnuje gwarę
poznąńską.
Często doprowadzał całe
towarzystwo do śmiechu.*

*Skarbnica
wiedzy o Luboniu
i o uczestnikach projektu.
Cześć z nich uczyła
Janina Baumann,
lubońska nauczycielka
i uczestniczka projektu
Camelot.*





Kacper Rybiński, najmłodszy uczestnik naszego projektu i jeden z najbardziej wytrwałych.



Zdjęcie grupowe podczas wspólnego wyjazdu do Gniezna.



*Zdjęcie z archiwum uczestników projektu.
Czy ktoś z Państwa pamięta dzieci na zdjęciu?*



Członkowie i członkinie Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Łasku w latach międzywojennych; w trzecim rzędzie w mundurze Sokolim Prezes Józef Wawrzyniak.



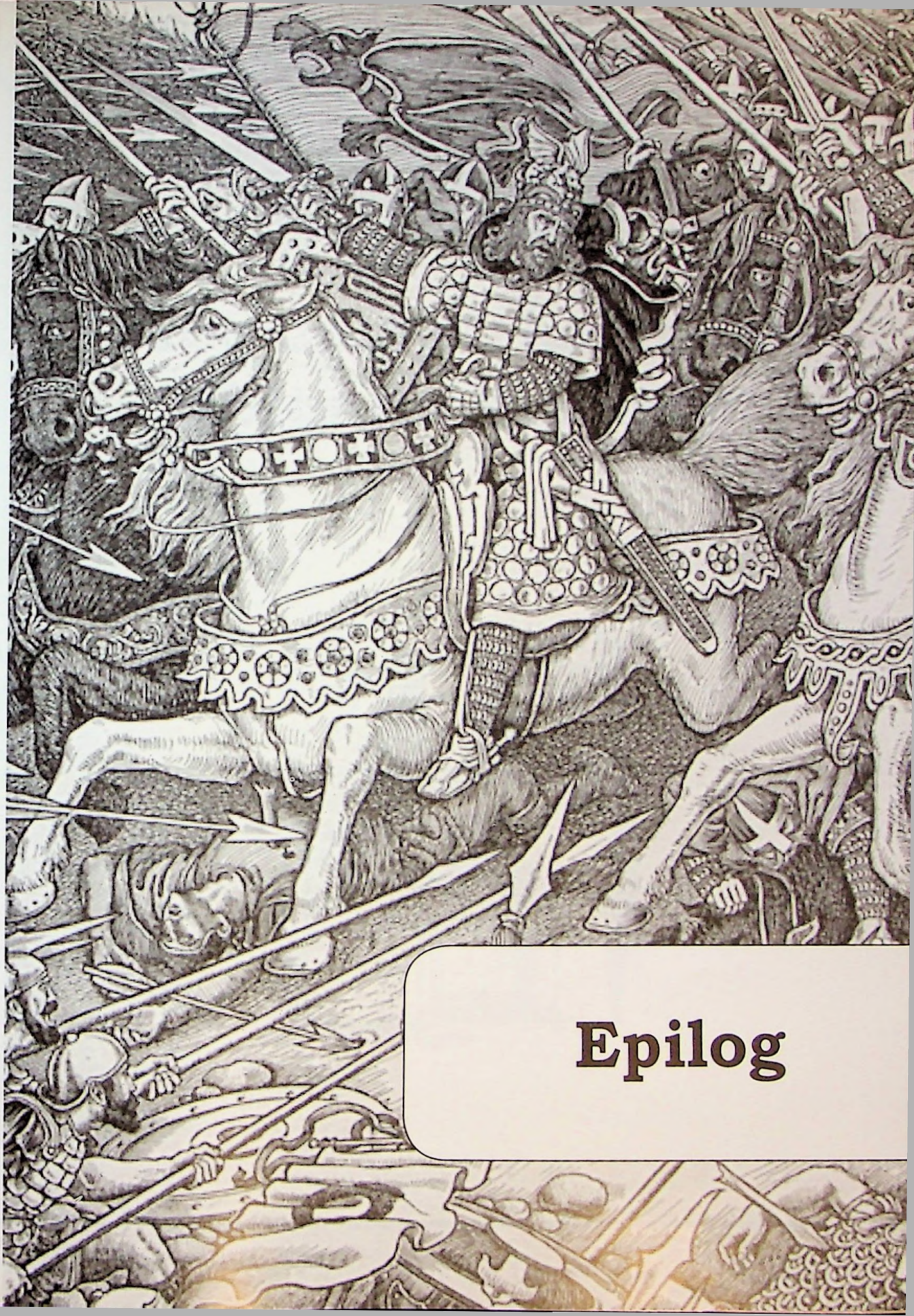
Zdjęcia z archiwum Pana Benona Mateckiego.





*Zdjęcia
z archiwum
Pana Bogdana
Leonarczyka.*





Epilog

Serce człowieka nie jest zbiorem kłamstw



Aleksandra Kowalska

*Serce człowieka nie jest zbiorem kłamstw,
lecz u Mądrego czerpie wiedzy dar
I wciąż Go woła. Z dawna zabłąkany,
człowiek zgubionym nie jest. Nie utracił,
choć w niełasce, danego mu tronu,
szczętki wielkości swej dawnej zachował.
Człowiek, Wtór-Stwórca, rozszczepiony blask:
przezeń to z bieli tryska wielkość barw,
mnogość odcieni, nieskończoność złożeń
żywych postaci, pośród serc krążących.
W każdej szczelinie świata szczepić baśń
elfów i gnomów, smoczy posiew siać,
z mroku i z blasku bóstwa snuć i splatać,
naszym jest prawem, które, czy użyte
czy nadużyte, trwa zawsze, niezmiennie,
tworzyć na obraz naszego stworzenia.
Mythopoeia G.R.R Tolkien*

istoria może być Wielka. Wydarzenia historyczne kształtują całe Państwa, Narody, Epoki. Ale historia ma też inne znaczenie - cementuje i spaja przeszłość z teraźniejszością, uczy Młodość szacunku dla Starości. Historia może mieć też znaczenie dookreślania miejsc, budowania więzi społeczności z miejscem zamieszkania. Historia uczy szacunku, tolerancji i rozwagi.

Dla projektu „Camelot nasze małe historie” właśnie Historia stała się budulcem cementującym współpracę międzypokoleniową. Z jednej strony, naszym zadaniem było pokazać młodzieży jak wyglądało życie, świat i ludzie widziani oczami seniorów. Z drugiej strony, chcieliśmy pomóc seniorom cofnąć się w czasie, do historii swojej młodości, bo mogli sprawdzić, czy bardzo różnili się od współczesnej młodzieży czy też nie i czy patrząc na uśmiechnięte i pełne energii dzieciaki dostrzegają w ich twarzach swoje rysy, zachowania i reakcje.

Jaki efekty przyniosła realizacja projektu?

Zobrazuję to przykładem:

Spotkanie „Camelotowe” 28 września. W Sali Ośrodka Kultury w Luboniu stoliki ustawione osobno, każdy stolik dla 8 osób. Przy każdym stoliku siedzi kilkoro młodzieży i kilku seniorów. Zachowują się naturalnie.

Patrząc na nich z boku nie widać żadnego skrepowania, milczenia. Przy stolikach toczą się ożywione rozmowy. Prowadzący są zmuszeni co jakiś czas dyscyplinować uczestników. Młodszy przynoszą dla Pani Janiny Baumann, która porusza się o kulach, kawę, a przy sąsiednim stoliku słyszeć śmiech spowodowany opowieścią pana Benona Mateckiego.

Czy takie spotkanie i taka atmosfera byłaby możliwa rok temu?

Czego takiego dokonaliśmy proponując Luboniowi ten projekt? Przełamaliśmy pewien stereotyp funkcjonujący w placówkach i instytucjach kultury, edukacji, pomocy społecznej, a mianowicie, że dla rozwiązania problemów i zaspokojenia potrzeb społecznych należy organizować spotkania adresowane. W społecznościach mamy więc kluby dla seniorów lub kółka zainteresowań dla dzieci. Organizowane są wieczorki taneczne dla seniorów i dyskoteki dla młodzieży. Robi się specjalne projekcje filmowe dla seniorów, dorosłej publiczności, a inne pokazuje się dzieciom.

My tymczasem pokazaliśmy, że pokolenia tak wiele łączy, że powinniśmy zapomnieć o ograniczeniach i pewnej sztucznej izolacji, której sami jesteśmy twórcami.

Realizując „Camelota” widzieliśmy, że seniorzy i młodzież reagują śmiechem w tych samym momentach w czasie projekcji filmów, że z podobnym zainteresowaniem oglądają rośliny w palmiarni, że lubią takie same ciastka (francuskie z owocami). Sprawdziliśmy, że czasami seniorzy śmieją się i zachowują jak dzieci, a młodzież wykazuje się rozsądkiem i opanowaniem kojarzącym się ze starszym pokoleniem. Pokazaliśmy na przykładzie, że Ośrodek Kultury może zaoferować coś dla wszystkich. Nie dzieląc, nie wyróżniając, nie izolując żadnej grupy.

„Camelot” to inicjatywa twórcza, nastawiona na kreowanie nowej wartości. Tutaj tą wartością jest książka.

Nasze spotkania przeplatane były opowieściami o królu Arturze i związanymi z nim legendami. Ta oprawa stanowiła dla nas pewien pretekst do mówienia o wartościach ponadczasowych i o znaczeniu historii w rozwoju jednostek i grup. Co nas łączy niezależnie od wieku to fakt, że każdy krok w naszym życiu jest tworzeniem: kolejnego dnia, nowego uczucia, ciekawego wspomnienia, zdobywaniem nowej wiedzy i nowych doświadczeń. Ta potrzeba bycia Twórcą naszego dnia nie ustaje z wiekiem, a w młodym pokoleniu musimy jak najszybciej tę potrzebę rozbudzić. Współczesna młodzież często nie zdaje sobie sprawy ze swoich umiejętności i nie widzi możliwości ich wykorzystania. Zagubiona w pełnej gonitwy codzienności nie znajduje czasu na refleksje, które są ważne w rozwoju młodych ludzi. A to potrafią seniorzy. I tego od nich oczekiwaliśmy w projekcie.

Tymczasem młodzież miała przypomnieć seniorom czym jest radość, ta prosta, naturalna, instynktowna radość z każdego kolejnego dnia, a tę umiejętność odczuwania radości posiadają właśnie młodzi.

Czego chcemy od projektu?

[W każdej szczelinie świata szczepić baśń elfów i gnomów, smoczy posiew siać, z mroku i z blasku bóstwa snuć i splatać...]

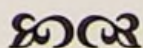
Chcemy tworzyć nowe opowieści i wspomnienia o Luboniu. Chcemy, aby projekt sam stał się najpiękniej opowiadaną historią wyjątkowego miejsca i ludzi, którzy tam mieszkają.

Projekt „Camelot nasze małe historie” stał się już teraz najczęściej opowiadaną historią w Centrum Innowacji Społecznej SIC! Chwalimy się pomysłem, rozwiązaniami, pokazujemy materiały promocyjne i informacyjne. „Camelot” to projekt, z którego jesteśmy bardzo dumni. Projekt, w którym zdobyliśmy wielu sprzymierzeńców i partnerów. Projekt, którego uczestnicy z dumą noszą pamiątkowe koszulki. I co dla nas najważniejsze, to projekt, którego nie zakończyliśmy we wrześniu. Już 12 października kolejne spotkanie „Camelotowe” w Luboniu!

Co będziemy robić tym razem?

Zapraszamy do tworzenia filmu - opowieści o Luboniu, tym współczesnym i tym historycznym. Będziemy korzystać z warsztatów, nauczymy się jak powinno pisać się scenariusz filmowy, jak należy obsługiwać kamerę, jak wygląda montaż materiału, jak powstaje film.

Napišemy scenariusz i zajmiemy się zbieraniem materiału filmowego. Uczestnicy projektu będą nie tylko pisać scenariusz, ale będą także aktorami w tym filmie. Chcemy, aby w filmie sceny ze starego Lubonia przeplatały się ze scenami o współczesnym życiu w Luboniu. Nie wiemy jeszcze, jaką formę przyjmie film, ponieważ ten wybór należy do uczestników przedsięwzięcia. Partnerem w realizacji projektu jest ośrodek kultury, który zadba o sale, poczęstunek i opłaci koszty wycieczek dla uczestników. SIC! zadba o warsztaty, organizację spotkań i oprawę. Patronuje nam Urząd Miasta Luboń.



CAMELOT

- legendy małe i duże



Kiedy przejęłam symboliczny miecz, który towarzyszył nam przez cały czas realizacji projektu „Camelot - nasze małe historie. Projekt współpracy międzypokoleniowej”, nie wiedziałam, że nasze działania sprawią wszystkim organizatorom i uczestnikom tak wielką radość.

Intensywna praca z wymagającą grupą, w której siły zostały rozłożone na dwóch wydawałoby się odległych biegunach, lubońskiej starszyny i lubońskiej „dojrzewalni”, była trudna jak wyciąganie miecza ze skały.

W legendzie o królu Arturze wystarczył jeden rycerz o czystym sercu; w naszym projekcie potrzebna była grupa walecznych wolontariuszy mających szczere chęci.

Zbieraliśmy historie małe i duże, przekonywaliśmy do wspólnej pracy, obserwowaliśmy budzącą się ciekawość i zaufanie, byliśmy świadkami relacji zachodzących pomiędzy ludźmi z dwóch różnych pokoleń.

Połączyła ich chęć wspólnego opowiedzenia historii miasta, w którym żyją. Dla jednych był to powrót do trudnych wspomnień, dla innych dzielenie się radosnymi chwilami.

A wszystko to wokół Lubonia, który ożył na naszych oczach, który dla mnie, Poznaniarki, stał się dzięki projektowi miejscem bliskim, prawie „moim” miejscem.

A ludzie, których poznałam, ich otwartość i chęć do współpracy, spontaniczność i radość, to wszystko pokazało mi, że warto podejmować wyzwania, choćby tak trudne jak te w legendzie o zamku Camelot.



